№ 44. Warszawa, dnia 18 (30) Października 1875 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Przy Kolebce!

PRZEZ

Anastazyę Dzieduszycką.

(Dalszy ciąg).

IX.

Czy mi przebaczycie łaskawe Czytelniczki, takie drobiazgowe szczegóły? czy zniechęcone nie przestaniecie czytać tych gawęd moich? Wierzcie mi, chociaż to drobiazgi tylko, składają się one na ważną całość wychowania i dzieło jego całe odczuwa tych drobiazgów zaniedbanie, a nadto każda najdrobniejsza wskazówka co do sposobu uczenia i wpływów metody na umysł uczni, służy nietylko w jednym pojedynczym wypadku, lecz zarazem oświeca, co do postępowania przy wykładzie każdéj nauki, umysł uczącego się rozmaicie uzdolniony. A ktokolwiek badał z uwagą powody kłopotów uczących, tak matek jak i nauczycieli i małych postępów uczni, ten pewnie je przypisze, złemu pojęciu ogólnego celu ich nauki nauczycieli, przy drobiazgowéj znajomości przedmiotu nauki, albo odwrotnie brakowi szczegółowéj znajomości metody, przy trafnych ogólnych poglądach.

Ponieważ ogólne zasady nauczania jedne są dla wszystkich nauk, przeto i nauka pisania tak jak nauka czytania od rzeczy łatwych i pojedyńczych postępować winna do trudniejszych i złożonych, a przeto musi się zaczynać nie od pisania wyrazów, ani głosek nawet, lecz od kresek z których się głoski składają. Naukę tę można zacząć z korzyścią dopiero po pięciu leciech skończonych; młodsze dziecko nie ma dość siły w ręku, ani ruchami swemi kierować umie, a zacząć ją należy od pisania szyfrowym ołówkiem, na szyfrowej tabliczce, ponieważ szyfrem łatwiej władać i łatwiej też mylnie nim pociągnione kreski zmazać. Niedługo się przy pisaniu kresek zatrzymawszy, uczy się pisania głosek czyli liter, nie po kolei, lecz postępując tąż samą co przy czytaniu metodą, mianowicie żądając gdy dziecię umie pisać samogłoski i spółgłoski, aby z nich wyrazy składało i pisało. W ten sposób podana nauka pisania, zajmując nie tylko oko i rękę dziecka, lecz zmysł i uwagę jego, nie będzie dlań nużącą i nieznośną. Dopiero gdy dziecię przyswoi sobie kształt wszystkich liter, można mu dać pióro do ręki, wymagając jedynie prostego przy pisaniu siedzenia a zresztą, patrząc z pobłażaniem na inne w tym wieku nieuniknione usterki i tak np.: nie sposób upierać się z dziećmi tego wieku przy wyprężaniu systematycznem dwóch palców, wskazującego i średniego, bo dziecię mające palce wątłe w ten sposób pióra utrzymać niepotrafi, przeciwnie wypada mu pozwolić opierać pióro na przedniej części średniego palca, przez co ruchy pióra równości i pewności nabiorą. Żądając też od dziecka pisania liter dużych, w rozmiarach ich jednak przesadzać nie należy, bo dziecku nader trudno palce daleko wyciągając, spokojnie przez czas dłuższy piórem kierować a tego wymaga pisanie zbyt dużych liter; pisanie piórem po wzorze, nakreślonym ołówkiem wydaje mi się zupełnie bezcelnem, gdyż nie pobudza dziecka do zapamiętania kształtu głosek i naukę pisania tem samem niezmiernie przedłuża. Za mało też zwykle zwracamy uwagi na wygodne siedzenie dziecka przy pisaniu, sadzamy je na wysokiem krześle, przy wysokim stole, tak że nie mając się o co oprzeć nogami, opiera się o stół piersiami, a gdy mu tego wzbraniamy, całą wagą waży na ręce piszącej, w niej podpory szukając. Nie należy też zapominać i o tem, że wzory pisania dla małych dzieci powinny być jak najprostsze bez ozdób i zakrętów, które dla niewprawnej ręki dziecka są tylomaż powodami do niewyraźnego poplątania liter.

Z tego co już powiedziałam wynika że po nauczeniu się pisania wszystkich liter, pisanie dla samej kaligrafji, uważam za stratę czasu. Małe dziecię zawsze powoli i starannie pisać powinno, lecz zawsze można też odeń żądać, aby zarazem przegłoskowawszy wyraz pojedynczy przez nas powiedziany, zarówno ortograficznie jak i kaligraficznie go napisało. Nie będzie to jeszcze dyktowaniem właściwem, ale przygotowaniem doń. Z dzieckiem sześcioletniem można już przejść do dyktowania właściwego, zaczynając od zdań łatwych, z których każden wyraz osobno się wygłasza, a przechodząc stopniowo do zdań trudniejszych, mówiąc naraz kilka wyrazów, potem zdanie całe. Zrazu pozwala się dziecku sylabizować głośno każden wyraz przed jego napisaniem, potem trudniejsze tylko, wreszcie wzbrania mu się tego zupełnie, zawsze wymaga się zarówno kaligraficznej jak ortograficznej poprawności, czystego utrzymania zeszytu. Dziecię długo jednym ciągiem pisać nie może; zrazu zaledwie 15 minut do razu, do lat siedmiu nigdy więcéj 30 na raz; dla tego należy to ćwiczenie dwa razy na dzień powtarzać, gdyż wprawne pisanie zarówno jak płynne czytanie są niezbędnemi narzędziami, bez których dziecię szybkich postępów w innych naukach robić nie będzie mogło.

Przy zaczęciu dyktowania w tym pierwszym naukowym okresie, nasuwa się samo przez się pytanie, czy można już tak małemu dziecku przytaczać reguły gramatyczne rządzące pisownią naszą? Jeżeli w tym okresie nie uczymy dziecka gramatyki, możemy mu mówić jeno o regułach gramatycznych dających się wysnuć z samej logiki lub mających swe źródło w zwyczaju np. że *rz* piszemy w wyrazach pochodzących od wyrazów mających brzmienie *r* np. piszemy w *worze*, bo mówimy *wór, worek*, a *wożę* bo nie mówię *worę* lecz *wozę*; toż samo o pisaniu *ławka* jako zdrobnienia wyrazu *ława*, a *szafka* jako zdrobnienia *szafy*. A nawet ucząc gramatyki w tym okresie, należy przytaczać te tylko reguły pisowni które drobne dziecię pojąć może, zawsze je wspiera-

jąc przykładami, główną wagę kładąc na nabycie wprawy, bez której nauka słowna zostanie martwą głoską.

Dyktowania przeto z dniem każdym podawać trudniejsze; gdy dziecię pisanie ukończy kazać mu napisane wyrazy lub zdania odczytać i przepatrzyć czy nie spostrzeże mylek któreby samo poprawić umiało; następnie odczytać głośno przy niem pisanie jego, wskazać każdą omyłkę lecz tylko podkreślając wyrazy mylnie napisane i przytoczyć reguły stosowne. Na drugi dzień kazać dziecku znowu ten ustęp odczytać i popoprawiać mylnie pisane wyrazy, a to dodając opuszczone lub zamieniając mylnie napisane głoski, przyczem się go wypytamy o reguły wedle których działa.

Po dwóch albo trzech dniach należy wybrać dyktowanie w któremby te wyrazy się znalazły, których dziecię napisać nie umiało, byleby nie powtórzyć ich w tych samych co po raz pierwszy zdaniach, coby dziecku ułatwiło machinalne wywiązanie się z zadania. W braku dyktowań gotowych, może sam uczący układać zdania odpowiadające jego celowi. O ile wiem nie mamy w mowie naszej systematycznie ułożonych dyktowań (wypisy dla szkół układane mając kilka różnych celów, nie są dość zwięzłe jako dyktowania), zwykle też bierze matka pierwszą lepszą książkę z powiastkami i z niej dyktuje, potem dyktuje ustępy z Historyi Świętej lub krajowej, zważając raczej na to by treść tych ustępów zajmującą i nauczającą była, aniżeli na ich systematyczny wpływ na naukę pisowni. Chcąc zaś dziecię pisowni pewnego języka nauczyć, należy mu przedstawić kolejno wszystkie jego trudności i nauczyć je zwalczać, a wiemy że każdy język ma swoje: taką jest u nas użycie *rz* i *ż*, w języku francuzkim sławne participe passée (imiesłów czasu przeszłego) nad którym sobie tyle nałamaliśmy głowę; w rossyjskim użycie ѣ i e; w niemieckim przedłużanie brzmień samogłoski za pomocą h i t. d.

Owoż dyktując same powiastki, nie przedstawiamy dziecku tych trudności pisowni które napotykają się w opowiadaniu historycznem, w opisach czerpanych z geografji, nauk przyrodzonych; dyktując mu wciąż ustępy potocznym pisane językiem, nie oswoimy go z pisownią wyrazów używanych tylko w stylu poważnym, wzniosłym, obrazowym, poetycznym. Jeżeli przeto nie upowszechnią się u nas dziełka zawierające systematyczne dyktowania, będzie uczący zmuszony do wyszukiwania w różnych dziełach ustępów najróżniejszej treści, najrozmaitszego stylu.

Trudno odgadnąć ile kłopotów biedne matki doznają, gdy się wezmą do nauki choćby początkowej tylko dzieci, trudno uwierzyć że osoby zdolne i ukształcone, napotykają trudności już przy nauce początkowej gramatyki i arytmetyki, a jednak tak jest w istocie. Kobiety u nas to tylko zwykle umieją czego się w dzieciństwie machinalnie nauczą, np. języków obcych, lub to co z czytań w młodości zaczerpną; o nauce systematycznej i gruntownej nie ma dla nich mowy, cóż więc dziwnego że załatwią one wprawdzie rachunki domowe, napiszą list nawet poprawnie bardzo, z życiem i dowcipem, ale nie wiedzą dla czego tak a nie inaczej piszą, nie wiedzą jak dziecku regułę arytmetyczną wyłożyć. Zwykle więc matka chcąca dziecię swe uczyć, uczy się jednocześnie sama; lecz wielkie to z jej strony poświęcenie przyniesie pożądane owoce wtedy tylko, gdy matka wcześnie przygotuje się do swego zadania, gruntownie ucząc się tego co ma wykładać, tak sobie te wiadomości przyswoi, że nigdy nie będzie potrzebowała cofać raz postawionego twierdzenia, co się niestety nieraz zdarza matkom, które mając czegoś dziecko uczyć, w wiliją lub nawet tego samego dnia, na chwilę przed lekcyą, same się uczą tego przedmiotu, a dzieci je zagadną pytaniami bystremi, trafnemi a niespodziewanemi, pytaniami, jakie tylko dzieci, logicy nieubłagani, zadawać umieją.

Nauka rachunku ma dwa cele: naukę zasad wedle których różne działania rachunkowe wykonywać możemy, i nabycie wprawy w ich wykonywaniu, oraz ćwiczenie w logicznem myśleniu.

Gdybyśmy ucząc rachunków, cel tylko pierwszy mieli na myśli, dość byłoby mechanicznie, pamięciowo wyuczyć dziecka tabliczki mnożenia i za pomocą wprawy biegłości w innych arytmetycznych działaniach: ale jakkolwiek cel ten ważnym jest bardzo, drugi cenniejszym mi się wydaje, wpływa bowiem niezmiernie na rozwój całej intelligencyi dziecka. Logicznego czyli że się tak wyrażę porządnego, ścisłego myślenia, uczy potrosze każda dobrze pojęta i wyłożona nauka a gramatyka może więcej od innych, lecz matematyczne prawdy i kombinacye te mają wyższość nad innemi, iż niezależne od zapatrywań się ludzkich nie cierpią zarzutów, a nie masz sofistów zapamiętalszych od dzieci.

(d. n.)

ŚWIAT SERDECZNY

POWIEŚĆ

przez

Waleryą Marrené (Morzkowską).

(Dalszy ciąg).

— A przecież ludzie zazwyczaj nie kochają się wcale w samych przymiotach. A naprzykład panna Eufemija córka naszego lokatora z drugiego piętra, jest dobrą jak anioł, wszyscy tak mówią, pomimo to panna Eufemija ma lat trzydzieści kilka a dotąd nikt się o nią nie stara.

— Nie znam panny Eufemji, ale to wiem że nie pojmuję miłości nie opartej na szacunku, odparła z determinacyą Stasia.

Podobne rzeczy Elcia słyszała pierwszy raz w życiu. Nie przyszło jej jednak wcale na myśl zapytać siebie, czy miała tak lub nie szacunek dla pana Feliksa. On zdawał jej się zupełnie po za granicami tej rozmowy i wszelkiej krytyki, był to bezwarunkowy ideał jej serca.

— Słyszałam jednak zawsze, wyrzekła po chwili, że podobać się to rzecz najważniejsza, a jakżeż podobać się bez piękności i tego wszystkiego co piękność podnosi?

— A czy takie podobanie daje jakąbądź rękojmię trwałości?

— Ja nie wiem, wyrzekła z pewnem zniechęceniem Elcia, spoglądając na swoje szarfy i ubranie tak lekceważone przez Stasię, przecież wszyscy tak utrzymują.

— A czy zdanie wszystkich pocieszy nas w nieszczęściu, lub da spokój i zgodę domową gdy jej zbraknie? pytała dalej uparcie sierota.

— Mówisz mi dziwne rzeczy o których nie pomyślałam nigdy.

— Przyznaj jednak że mam słuszność.

— Ja tego wiedzieć nie mogę, tylko wszyscy powiadują że panny powinny przede wszystkiem starać się zwrócić uwagę i podobać koniecznie, bo już nie masz gorszego nieszczęścia jak nie dostać męża.

— Więc ty dla tego kochasz pana Feliksa?

— O ja nie mówię o sobie, odparła obrażona nie ledwie, tylko widzisz Stasiu, trzeba pójść za mąż, inaczej cóżbyśmy robiły na świecie?

— Czy jesteś tego pewną Elciu?

— Szczególna jesteś Stasiu, poddajesz zawsze w wątpliwość to co myślą i mówią wszyscy.

— Bo dla mnie nie jest to żadnym pewnikiem, wszyscy mylić się mogą, wszyscy mylą się często.

— A jakże o tem sądzić możesz?

Pytanie to było słuszne, Stasia zamyśliła się smutnie i odparła po chwili z prostotą:

— Bo widzisz Elciu, kiedy kto patrzy na świat z głębi sieroctwa i niemocy swojej, to musi sądzić go odmiennie niż wszyscy. Tysiące owych zdań oklepanych, nie poddanych przez ogół w wątpliwość, bo nie miał sposobności wprowadzić je w praktykę, okazuje się fałszem w starciu z rzeczywistością. Nieszczęście uczy myśleć samoistnie i polegać na własnym sądzie, uczy nas porównywać, działać i rachować tylko na siebie.

Dla Eligji były to rzeczy zupełnie nowe, nie zrozumiała też ich całej doniosłości i kierując wszystko do jednej kwestyi zajmującej ją wyłącznie, pytała znowu ciekawie:

— Więc ty nie chciałabyś pójść za mąż?

— Nie wiem, nie mam czasu o tem myśleć, potrzeba mi wywalczyć sobie byt i pracować na siebie.

— Ty ciągle mówisz o pracy, przecież gdybyś poszła za mąż nie potrzebowałabyś myśleć o sobie.

Stasia uśmiechnęła się lekko.

— Dzisiaj Elciu życie jest trudne i twarde, większość do której ja właśnie należę, zmuszona jest ściśle rachować się z siłami, do nich stosować uczucia i obowiązki. Może taki któremubym bez wahania powierzyła przyszłość moją, podołać jej nie zdoła, może ten co posiadałby materyalne środki do utrzymania rodziny, nie odpowiadałby temu cobym ja pragnęła. Kto to wie, byłabym może trudną w wyborze, choć nie mam do tego prawa. Więc lepiej że nie oglądam się na to coby być mogło.

Mówiła to z zupełnym spokojem, jak istota zrezygnowana na los nieodmienny, Eligija jednak przerwała jej z żywością.

— A przecież pan Feliks chce żenić się ze mną?

— Pan Feliks jest doktorem, wziętym już zapewne, będzie pracował na was dwoje.

— Przecież nie ja jedna tak idę za mąż, tylko ty Stasiu za mało myślisz o sobie, nie dbasz wcale o strój, ani o to w czem ci do twarzy, a to do niczego nie prowadzi.

Eligija mówiła to przejęta powagą swego szczęścia, dumna z urzeczywistnionych nadziei, ale Stasia odparła nie przekonana wcale, ze swoim cierpliwym uśmiechem.

— Nie mam czasu się tem zajmować, potem — ja nie pragnę się nikomu podobać.

— Nie pojmuję cię Stasiu.

— Może to i lepiej Elciu, życie twoje nie było do mojego podobne, daj Boże ażebyś nie pojęła mnie nigdy.

— A jednak wierz mi, chciałabym żebyś była szczęśliwą.

— Oh! wierzę, ty jesteś dobra, bardzo dobra, powtarzała Stasia ujęta jej serdecznem słowem, pan Feliks powinien cię kochać.

Pan Feliks tego wieczoru wyszedł z domu Drobińskich nieco zakłopotany swojem szczęściem. Szczęście to bowiem rozniosło się po salonie z szybkością tego rodzaju wieści, tak że wszyscy po kolei, winszowali

mu przyszłego małżeństwa, zanim zdołał samemu sobie określić nowe położenie.

Eligija zwierzyła się każdej prawie pannie, pani Pelagija udzieliła tę ważną wiadomość swoim przyjaciołkom, a może i pan Kalasanty przyjaciołom, dość że wszyscy goście zostali uwiadomieni poufnie, że panna Eligija była już po słowie z panem Feliksem.

Krok to był ważny w życiu, a młody doktor był z niego rad i nie rad jednocześnie: wprawdzie serce nie brało w nim najmniejszego udziału i teraz milczało uparcie, ale za to w myśli zrodziła się wątpliwość, czy interes ten był tak dobrym jak sądził. Sama łatwość jego, on co namyślał się i ważył tak długo, zanim wypowiedział stanowcze słowo, teraz gotów był wymawiać sobie pośpiech zbyteczny. A gdyby też Drobiński nic nie dał córce? A gdyby ominęły go świetne nadzieje budowane na bogatym stryju Eligji? Wszystko to dręczyło srodze Złocica, czyż nie należało wybadać wprzódy intencye ojca i nadzieje córki, zanim złożył formalne oświadczyny? Wszystko to było zbyt nagłe a w chętnem przyzwoleniu rodziców przeczuwał ze drżeniem zawód posagowy.

Nic zatem dziwnego iż pan Feliks pogrążony w tych smętnych myślach, nie zmrużył oka noc całą. Położenie to było fatalne, w każdym jednak razie wątpliwość gorszą była od jakiejbądź pewności, więc też nazajutrz jak tylko pozwoliła na to przyzwoitość, udał się czemprędzej na Chmielną ulicę, a kiedy dochodził do kamienicy Drobińskiego, serce biło mu tak gwałtownie, że gdyby panna Eligija mogła położyć rękę na jego piersi, szczęście jej wzrosłoby jeszcze do ogromnej potęgi.

Ona nie wątpiła ani na jedną chwilę o gorącej miłości narzeczonego, a kiedy o niezwykle wczesnej godzinie, odezwał się dzwonek w przedpokoju pociągnięty gorączkową ręką, odgadła instynktem serca odrazu, że to był on, on wiedziony niepokojem o jej zdrowie, i żądzą zobaczenia czemprędzej ukochanej.

Gdy jednak służąca wpuściła pana Feliksa do salonu, nikt z rodziny nie był w stanie go przyjąć. Pan Kalasanty który także instynktem jeśli nie serca to kieszeni, przeczuł zamiary młodego doktora i uważał za stosowne odłożyć do najdalszego czasu ostateczną rozmowę w tym względzie z przyszłym zięciem, raniej jeszcze od niego wyszedł na miasto, a panie zwyczajem swoim o tej godzinie, bez koków, turniur i t. p. przydatków, sądziły się zbyt nieprzywoicie ubrane, by pokazać się męzkim oczom.

Zamęt i zamieszanie wszczęło się więc w dalszych pokojach. Eligija ubierała się na gwałt, co chwila odmieniając coś i poprawiając, tak dalece, że pośpiech ów bardziej jeszcze oddalał pożądaną chwilę, w której panna podniesiona na cztero-calowych obcasach, z głową powiększoną do potworności kilku funtami nadmiarowych włosów, z figurą należycie obwieszoną falbankami, riuszami i karokami, mogłaby stanąć w obecności ukochanego.

Jedna tylko Stasia w swojej żałobnej sukni była ubrana odrazu, na nią też padły błagające spojrzenia spieszącej się na próżno Eligji.

— Stasiu! zawołała gorączkowo, idź go przeproś, zatrzymaj, powiedz że się ubieram, że wyjdę zaraz.

Stasia spełniła jej wolę i poszła do salonu.

Pan Feliks przechadzał się po nim niespokojnym krokiem, bo przyznać trzeba, iż ten niemy świadek wczorajszego tryumfu, czynił na nim nieco przykre wrażenie. Usłyszawszy skrzypnięcie drzwi, zatrzymał się nagle i spotkał się niespodzianie z nieznaną sobie osobą.

— Pani — wyrzekł z niepewnym ukłonem, jak gdyby nie mógł zdać sobie sprawy ze stopnia towarzyskiego zajmowanego przez młodą dziewczynę, a lękał się być nazbyt grzecznym dla osoby ubranej tak skromnie.

Stasia przyzwyczajona czytać w twarzach ludzkich, odgadła ten odcień, ale nie zważając na to odparła:

— Jestem kuzynką państwa Drobińskich, Eligija prosiła mnie...

— Słucham rozkazów pani, pochwycił doktór, chcąc przesadzoną grzecznością zniszczyć wrażenie, jakie mógł wprzódy uczynić.

— Ja nie wydaję żadnych rozkazów, wyrzekła Stasia z uśmiechem, proszę tylko w imieniu Eligji, byś pan zatrzymał się chwilę, zaraz będzie ubrana.

— A pana Drobińskiego czy zastałem? spytał niespokojnie młody doktór.

— Wuj wyszedł od rana.

— Nie wie pani kiedy powróci?

Stasia wstrząsnęła głową.

— Wuj nam tego nigdy nie mówi.

Słowo wuj uderzyło Feliksa. Stasia mogła być tutaj bliższą krewną niż sądził zrazu, mogła wiedzieć wiele domowych tajemnic, więc na wszelki wypadek, postanowił zrobić sobie z niej przyjaciołkę. Rzecz ta nie zdawała mu się trudną wcale, młody doktór bowiem należał do rzędu ludzi, mających nieograniczone zaufanie w trafność swego sądu, w siłę dyplomacyi i w potęgę wdzięków. Wiedział z doświadczenia, że kobiety w ogóle patrzą przychylnem okiem na ładnego chłopca jakim był Feliks Złocic. I dla tego też uzbroiwszy się w zabójczy uśmiech, spojrzał znowu na Stasię.

— A pani czy dawno w Warszawie? zapytał, nie miałem dotąd szczęścia....

— Od kilku dni dopiero, przerwała dziewczyna, nie zadając sobie przymusu do słuchania pięknego frazesu, którym doktór uczcić ją zamierzał.

— Od kilku dni... powtórzył, a jednak wczoraj nie raczyłaś pani ukazać się w salonie.

— Jestem w żałobie jak pan widzisz — towarzystwo było mi obcem po cóż je miałam osmucać.

— Pani przeciwnie ozdobić je tylko mogłaś, mówił Feliks niezrażony obojętnemi odpowiedziami jakie odbierał.

Stasia umilkła, rozmowa prowadzona dalej w tym tonie, wydała jej się zupełnie zbyteczną, probowała więc skierować ją inaczej i naturalnie pomyślała o kuzynce.

— Elcia jest cierpiącą od jakiegoś czasu, wyrzekła po chwili, jakże ją pan znalazłeś?

Doktór jednak widocznie nie chciał zatrzymywać się na tym przedmiocie, bo odparł lekko.

— Małe podrażnienie nerwów, nic więcej. Ale pani czy na długo zaszczyciłaś Warszawę swoją obecnością.

Przesadna grzeczność jego coraz bardziej zwracała uwagę Stasi, nie przypisywała jej sobie wcale i szukała powodu mogącego skłaniać doktora, do tych upartych pochlebstw.

Tym razem jednak doza była zanadto przesadzoną, więc roześmiała się szczerze.

— Zaszczyt to w każdym razie bardzo mały, proszę nie żartować ze mnie.

Stanowczość Stasi i sposób pełen prostoty jakim przyjmowała grzeczności jego, zastanowił Feliksa. Widocznie nie była to parafiianka którąby mógł ująć w ten sposób. A co dziwniejsza mówiła z nim bez rumieńca, trwogi i nieśmiałości, chociaż była z nim sam na sam, chociaż widziała go po raz pierwszy, i chociaż miał tak śliczne rysy, tak piękne usta, tak wystudyowane spojrzenia, tak misternie zakręcone wąsiki. To podrażniło go bardzo, tak bardzo, iż ukradkiem rzucił wzrokiem w zwierciadło, chcąc się przekonać, że te wszystkie dodatnie strony jego osoby, istniały w całym swym blasku.

— Ja nie żartuję wcale, odparł z pewnem zmieszaniem.

— Być może, nie wiem jakie zwyczaje świata, jak wyrażać się należy wedle form jego, czuję jednak dobrze że ja uboga dziewczyna, co przyjechałam tutaj szukać pracy i chleba, nie mogę ani zdobić towarzystw ani być dla kogobądź zaszczytem, więc w słowach pańskich musiałam żart upatrywać.

W miarę jak mówiła pan Feliks patrzał na nią z wzrastającą uwagą. Uczuł wprawdzie że zmylił drogę, szukając w biednej dziewczynie sprzymierzeńca i podpory; z drugiej znów strony przesadne grzeczności odbiły się o puklerz zdrowego rozsądku jakim Stasia obdarzoną była, a urody jego może nie dostrzegła nawet. Z powodu więc nizkiego położenia do którego bez wahania i koniecznej potrzeby przyznawała się sama, porażka miłości własnej młodego doktora była tem dotkliwszą. Bo w końcu cóż miała tak osobliwszego ta dziewczyna, by odeprzeć śmiechem jego pochlebstwa, ileż innych na jej miejscu przyjęłoby je z bijącem sercem, Eligija sama odpowiedziałaby mu na nie rumieńcem szczęścia. Byłaż to duma, zarozumiałość. lub też po prostu niezdolność pojęcia form towarzyskich? Stasia pomimo słodyczy i energji rozlanej na jej twarzy nie była wcale pięknością, i co prawda nie zdawała się mieć do tego najmniejszej pretensyi, ale za to z czoła jej tryskała inteligencya, a oczy świadczyły wyrazem swoim że umysł może wszystko pojąć i zrozumieć. Zresztą postawa jej, ubiór i mowa sama świadczyły o skromnych wymaganiach.

Stasia więc stanowiła dla młodego doktora nierozwiązany problemat, bo pomimo wszystkie ujemne strony charakteru, był w stanie ocenić różnice jakie dzieliły ją od ogółu kobiet. Pojął doskonale, że nie uczynił na niej najmniejszego wrażenia i to obeszło go więcej niż przyznawał przed samym sobą, niż przypuszczał nawet.

— Pani się mylisz, zawołał z żywością, nie miałem podobnej myśli...

Chciał mówić dalej, lepiej się wytłomaczyć, ale w tej chwili weszła do salonu Eligija, a Stasia korzystając z tego wysunęła się czemprędzej.

W usposobieniu w jakiem znajdował się pan Feliks, nie miał on najmniejszej ochoty odgrywać dalszy ciąg wczorajszej sceny miłosnej, a Stasia jak na złość nie czekając wcale tłomaczeń jego, zostawiła go sam na sam z narzeczoną. Była to rzecz nie do darowania.

Odpowiadał też z roztargnieniem na czułe zapytania Eligji, porównywając ją mimowolnie ze Stasią. I rzecz dziwna, chociaż Eligija była piękną, strojną i odpowiadała temu w zupełności co świat zwykł żądać od kobiety, porównanie to wcale nie wypadało na jej korzyść. Pan Feliks mógł wiedzieć z góry co i kiedy odpowie mu narzeczona, gdy tymczasem słów Stasi nie podobna było obliczyć.

Pierwsze więc sam na sam młodej pary przybierało jakieś cierpkie zarysy, kiedy szczęściem przerwała je pani Drobińska, a jako troskliwa matka, skierowała uwagę Feliksa na zdrowie córki. Tym sposobem miłosne gruchanie zamieniło się w naradę lekarską, z wielkiem zadowoleniem narzeczonego.

Jakkolwiek zręcznym był pan Kalasanty w oddaleniu chwili stanowczego porozumienia się z przyszłym zięciem, nie mógł go jednak uniknąć i nadeszła w końcu godzina, w której mgliste marzenia i nadzieje zaręczonej pary, musiały się stanowczo określić.

Położenie przynajmniej było wyraźne; pan Kalasanty i pan Feliks zajmowali względem siebie stanowisko obleżonego i oblegającego; fortecą była kieszeń właściciela domu, taranami do rozbijania jej murów ojcowskie uczucia, a wreszcie znana próżność

jego. Jako siła posiłkująca wystąpić także mogła miłość Eligji, jej chorobliwa drażliwość i trwoga by smutek doznanego zawodu, nie pogorszył tego stanu.

Amunicye pana Kalasantego do tej walki były nierównie prostsze, obwarował się on w duchu niewzruszonością, i z tem silnem postanowieniem spotkał się z młodym doktorem.

Po raz to pierwszy od owego pamiętnego wieczoru widzieli się z sobą. Złocic z należnem uszanowaniem skłonił się przyszłemu teściowi, a zbliżywszy się pocałował go w ramię, pochylając się tak by to ujść mogło za pocałowanie ręki. Tego jednak w zupełności uczynić nie chciał, nie wiedział jeszcze bowiem jak dalece miał powód być obowiązanym ojcu Eligji, akty zaś synowskiego uszanowania powinny były w jego przekonaniu zachować się ściśle, do sumy pieniężnych ofiar uczynionych przez niego.

Nie czuł się bowiem wcale w potrzebie dziękowania za oddanie córki, primo dla tego, że czuł dobrze iż serce narzeczonej zawdzięczał swoim osobistym przymiotom: powtóre że pannę uważał za wartość ujemną, którą on wspaniałomyślnie chciał się obarczyć. Nie widział zatem racyonalnej przyczyny wdzięczności z tego powodu dla Drobińskich, a nawet wszystko dobrze obliczywszy oni powinni byli dziękować mu za to co chciał uczynić.

Być może iż pan Kalasanty zmiarkował usposobienie młodego doktora, nie różniąc się zresztą wcale, od ogólnie przyjętych zasad w moralnym plebsie ludzkim, bo nawzajem uzbroił się w powagę czułego ojca rodziny, który skarb swój domowy, pierworodną wypieszczoną córkę, gotuje się oddać w obce ręce. I stosując się z góry do przyjętej roli, uścisnął pana Feliksa z całym zapałem doskonałego aktora.

— Mój synu, powtarzał cisnąc głowę jego do piersi, mój synu.

Pan Feliks musiał więc koniecznie rad nie rad nastroić się do tegoż samego tonu i odpowiedzieć:

— Mój ojcze.

Tym sposobem początek konferencyi został zwichnięty i wypadł stanowczo na stronę Drobińskiego: wzajemne rozczulenie prawdziwe czy udane wzmacniało łączące ich węzły, i utrudniało przejście na suche arytmetyczne pole, pan Feliks jednak folgując przez chwilę wybuchowi sentymentów teścia, zwrócił się niebawem do głównie zajmującej go kwestyi.

— Mój ojcze, powtórzył prostując się i poprawiając nieznacznie włosy zwichrzone gwałtownem objawem uczuć, skoro mogę nazywać cię tem imieniem.

— Ale możesz, możesz, przerwał Drobiński, domyślając się dokąd zmierzał i starając się zabiedz mu drogę.

— Skoro mogę nazywać cię tem imieniem, mówił dalej niezrażozy doktór, jako z ojcem rozważymy położenie.

Na propozycyę sformułowaną w ten sposób, teść skrzywił się nieznacznie, przecież odparł z udaną dobrodusznością, nie rozumiejąc niby o co chodzi.

— Rozważajmy, rozważajmy wszystko co chcesz mój synu.

I znowu ta zbyteczna łatwość uczyniła nie dobre wrażenie na Feliksie.

— Widzi ojciec, zaczął jak mógł najsłodszym głosem, my kochamy się z Elcią.

— A tak, tak, widziałem to.

— I chcielibyśmy się pobrać.

— Pobierzcie się moje dzieci, wiecie dobrze iż wam z serca pobłogosławię.

Mówiąc to mały człowieczek obcierał suche oczy, chcąc nadać sobie większy pozór rozczulenia.

(d. c. n.)

CZŁONEK KOMITETU ZABAW,

LISTY Z TANNEBURGA

przez

Schpielhagena.

(Dokończenie).

Wieczorem.

Zwycięztwo! Zwycięztwo! A raczej pokorne milczenie, jak najszczęśliwszemu z szczęśliwych przystoi. Jakim sposobem zasłużyłem na to? Czy to sen, czy jawa? Muszę wszystko opisać, aby temu uwierzyć a opiszę spokojnie aby ciebie przekonać, że jest tak, jak mi przepełnione szczęściem serce mówi.

Tłoczący mnie niepokój wzrastał z każdą chwilą. Z dziesięć już razy zapytywałem, czy panie jeszcze nie wróciły. W końcu nie mogąc już tu dłużej wytrzymać, wybiegłem sam nie wiedząc gdzie, do lasu, w góry. W pół godziny uszedłem tyle drogi, ilem zwykł ujść w półtory. Zmęczony, rzuciłem się na trawę około krynicy, i spoglądałem ponuro na otaczający mnie wspaniały krajobraz leśny. Czerwonawe łuny zachodu mieszały się z błękitnym cieniem lasów; powietrze było ciche i przezroczyste, żadnej chmurki na niebie; naokoło ciemny las i szmaragdowy dywan murawy. Owady brzęczące przelatywały. Zdaleka, pasterz pędził do domu swą trzodę. Ja jednak nie miałem ani spoczynku, ani spokoju. Zerwałem się i poszedłem znowu do lasu małą ścieżyną, której ślad wkrótce straciłem w gęstem wrzosowisku. Ale cóż to mnie mogło obchodzić?

Nagle przyszło mi na myśl, że jeżeli wrócę późno, stracę sposobność rozmówienia się dziś jeszcze. Zerwałem się, chcąc jakimbądź sposobem wydostać się z lasu; natrafiłem na jakąś ścieżynę ale ta prowadziła w dalsze góry. Rzuciłem się więc w poprzek lasu, to z góry, to pod górę, mrok tymczasem pomiędzy wysokimi dębami zapadał coraz to większy; nie wiedziałem już w którą stronę się kierować. Spuściłem się na ślepy przypadek.

A przypadek nigdy nie był zbyt dla mnie przychylny; spadzistość stawała się coraz większą; przez rzadniejące drzewa mogłem tylko kiedy niekiedy dojrzeć głęboko u stóp moich równinę. W końcu wyszedłem na równe podgórze i stanąłem zdziwiony. Była to mała łączka staremi drzewami ocieniona, zkąd widok na wprost w dolinie leżący zamek i wieś, jej miejsce ulubione, któreśmy jutro sprofanować mieli! Spostrzegłem zaraz że już tu czyniono przygotowania, gdyż odłamki skał pokrywały tu i owdzie wrzosowisko i narzędzia rolnicze leżały porozrzucane.

Nagle spostrzegłem, że nie ja jeden jestem w tem miejscu. W głębokim cieniu drzew i skały na kamieniu, nie poruszona, z głową na dłoni wspartą, siedziała postać niewieścia. Widocznie nie słyszała mego przyjścia, gdyż miękkie wrzosowisko przytłumiło odgłos mych kroków. Serce uderzyło mi silniej. Jakieś przeczucie mówiło mi że to ona—i przeczucie nie zawiodło.

— Panno G.—powiedziałem. Pani tu, o tej porze, sama.

Postąpiłem kilka kroków naprzód, i przy słabem świetle wieczornem ujrzałem wyraźne ślady łez na jej bladej twarzy. Spojrzała szeroko roztwartemi oczami na mnie, i głosem którego słodka powaga dziwnie mnie wzruszyła, rzekła:

— Chciałam się przekonać, czy to prawda, co mi nazbyt słaba ciotka przed godziną oznajmiła, czy prawda że pan i kilku jeszcze panów, chcecie mnie wystawić jutro na cel żartów całego zgromadzenia? postępek ten, niestosowny w każdym razie, przy dzisiejszych stosunkach, których nie potrzebuję panu tłomaczyć, przybiera taki charakter, że na oddanie całej niestosowności jego, nawet mi właściwych wyrażeń brakuje.

Nie byłem w stanie wyrzec słowa. Serce biło mi gwałtownie. Nie czekając mojej odpowiedzi, mówiła dalej tym samym tonem:

— Wiem tylko dobrze, że wiele zawiniłam względem pana; że tem dałam niejako panu prawo, być względem mnie niedelikatnym. Ale po okazaniu jak głęboko tego żałuję, i że nie jestem tak płochem i dumnem stworzeniem, za jakie pan początkowo słusznie mógł mnie uważać, nie sądziłam jednak, żebyś pan z tak smutnego prawa chciał korzystać. Omyliłam się. Żal mój nie wystarczył panu, bezbronne położenie nie było dla ciebie godnem szacunku. Zamiast lekkomyślnego młodzieńca powstrzymywać w granicach pospolitej galanteryi, dodawałeś mu jeszcze odwagi. Ja...

Nie mogła mówić dalej, łzy tamowały jej mowę. Odwróciła się chcąc odejść. Zastąpiłem jej drogę i wstrzymując gwałtowne wzruszenie.

— Niech mnie pani zupełnie nie potępia, nie wysłuchawszy—rzekłem. Wina moja nie jest tak wielką. Przysięgam pani na honor człowieka, który nigdy tego wyrazu lekkomyślnie nie wymówił, że ani na chwilę nie pomyślałem żeby pani przykrość sprawić, że na plan nie w mojej głowie powstały, zgodziłem się wtedy, kiedy jeszcze zupełnie pani nie znałem, kiedy jeszcze przeczucia nawet nie miałem o prawdziwej wartości, o prawdziwej istocie pani. I nawet wtedy czułem że źle czynię. O! gdybym mógł opisać, jak prędko to ciemne przeczucie zamieniło się u mnie w pewność; gdybym śmiał powiedzieć, że nie napróżno nauczyłaś mnie pani inaczej myśleć — nie uwierzyłabyś temu—może wzięłabyś to także za żart i szyderstwo....

Wzruszenie moje było aż nadto widoczne. Bezładne słowa musiały zrobić wrażenie na kochanej dzieweczce.

— A jednak—rzekła łagodnym głosem— zgodziłeś się pan na to wszystko?

— Nie wiem — odparłem żywo — co pani powiedziała ciotka. To tylko zapewnić mogę, że jeżeliby jutro nastąpić miała jaka uroczystość, której przeszkodzić nie będę mógł, pani w niczem narażoną nie będzie!

— Będzie to tem łatwiej, gdyż ja z ciotką opuszczamy jutro Tanneburg.

Chciała to powiedzieć w dumny, żartobliwy sposób, ale nie udało się jej; głos jej drżał nieco przy ostatnich wyrazach.

Teraz, przyjacielu mój, napróżno staram się wywołać ze wspomnień, com powiedział, com czynił. To tylko wiem, żeśmy się za ręce trzymali, że złożyła swą piękną główkę na mej piersi, że powiedziałem jej, jak ją kocham, jak kochałem od pierwszej chwili, a ona mi szepnęła: „i ja ciebie!“ żeśmy oboje śmiali się i płakali—i byli szczęśliwi, nieskończenie szczęśliwi.

Ręka w ręce zeszliśmy z góry; owady brzęczały powietrze przepełnione było rozkoszną wonią, drzewa szemrały szeptem tajemniczym...

I nie wyjeżdża jutro! Urządzę się jak zechcę, na wszystko się zgadza i będzie ze mnie zadowolona. Niech Marcus zatrzyma dla swojej czarnowłosej piękności kamień, który mojej błękitnookiej dzieweczce przeznaczył.

W godzinę później.

W tej chwili wychodzi Marcus ode mnie. Słuchaj czego żądał i śmiej się.

Jeszcze ostatnie słowa mego listu nie zaschły, gdy nagle, jak Deus ex machina, przede mną stanął.

— Przychodzę prosić pana o przysługę—rzekł.

— Mów pan—odrzekłem—jestem w usposobieniu chcącem zadowolić wszelkie żądania.

— A więc—mówił dalej kręcąc się niespokojnie na krześle — jestem w najprzykrzejszem położeniu. Ktoś doniósł mojej kuzynce o grzecznościach i uwielbieniu, jakie okazywałem pannie G. Pan wiesz najlepiej czy jest w tej gawędzie cień prawdy. Oddawałem tylko hołd piękności, bez żadnej myśli i zamiarów. Któż nie składa wierszy nie mając co lepszego do roboty? Zresztą, różnica naszych religijnych przekonań, jednem słowem: urojenie, bańka mydlana! Szkoda słów na to. Ale pozory są przeciwko mnie; kuzynka moja jest cokolwiek zazdrosną, a zazdrosnym cień podejrzenia wystarcza. Przyznasz więc pan, że jutrzejsza sprawa może mieć dla mnie wcale nieprzyjemne skutki.

— Jestem zupełnie pańskiego zdania panie Marcus— odpowiedziałem—do tego stopnia że z niecierpliwością oczekiwałem pańskiego powrotu, aby mu oznajmić, że co się tyczy panny G. uroczystość w żaden sposób miejsca mieć nie może.

Pan Marcus pogładził ręką gęstą czuprynę i rzekł cokolwiek zakłopotany:

— Bardzo słusznie, bardzo słusznie, ale idzie tu o kamień, który, jak panu wiadomo wczoraj nadszedł. Rozpakowałem go przy pomocy służącego i ustawiłem aby nie uszkodzić, w moim pokoju. Nakazałem temu niegodziwcowi największą tajemnicę, największą ostrożność. Ale cóż on robi? Dziś rano, gdy wyszedłem zamówić powóz, wprowadza potajemnie ciotkę i kuzynkę do mego pokoju. Nie przeczuwałem nawet tego; dopiero w drodze z różnych alluzyi ciotki i kuzynki domyśliłem się całej sprawy. Moja Toni była uosobioną słodyczą: była to tak grzeczna uwaga z mej strony: przepraszała mnie, że mogła kiedykolwiek wątpić o mojej miłości. Pomyśl pan tylko, w jakiem byłem położeniu! Powiadam panu że męki czyszcowe przeszedłem. Gdy się dowie że kamień nie dla niej przeznaczony....

Nie mogłem się już dłużej pohamować. Skoczyłem chwytając w objęcia poczciwca i wołając:

— Bierz pan kamień! Bierz pan Tonię, swoją prawdziwą Tonię! z całego serca tego panu życzę.

Sądził iż zwaryowałem; zapewniłem go że mówię najpoważniej, że jutrzejszy dzień może być poświęcony jego prawdziwej Toni, że wszelkiego starania dołożę, aby uroczystość była świetną i okazałą.

I któżby śmiał zaprzeczyć w obec pana Marcusa, że Amor dziwne figle czasem płata.

Ach! jak mogę żartować, gdy serce me przepełnia błogie wzruszenie. Ale jestem tak szczęśliwy! Zdaje mi się, że kocham wszystkich—cały świat....

Buchenhagen w grudniu 186°

Musisz do nas przyjechać na święta! Oczekujemy ciebie na pewno, Toni chce koniecznie mego najlepszego przyjaciela poznać. Musisz przyjechać, choćby dla tego tylko, aby skosztować doskonałego wina, które mi Marcus przysłał, z podziękowaniem, jak pisze, za udział jaki miałem w uroczystości, która mu zjednała na zawsze serce ukochanej małżonki. Poczciwiec! Jestem przekonany, że wmówił w siebie, iż sławna ta marmurowa płyta (było tam jeszcze serce pałające w dodatku!) nigdy nie miała innego przeznaczenia.

Ale i my mamy swoje ulubione miejsce: w dużej sali dębowej koło kominka; tam odpoczywamy wieczorem po całodziennych zajęciach. Tam też będziemy siedzieli, gdy przyjedziesz, i rozmawiali przy płonącem ognisku o pięknej porze letniej i o przyjacielu twoim, który samotnie po Tanneburskich górach błądząc, znalazł nakoniec błękitny kwiat, do którego całe życie napróżno tęsknił.

KORESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

z Paryża.

(Dokończenie).

Wystawa geograficzna.—Kongres geograficzny.—Wystawa płodów morskich i rzecznych.—Zegary elektryczne.—Dzieło hr. Du Moncel „Wykład zastosowań elektryczności“. Dzieło p. Rambossou „Bezwzględne prawo obowiązku i przeznaczenie człowieka uważane ze stanowiska nauki porównawczej.“—Milijon p. Pomard'a.—Proces Neauvadicur, pp. Hennequin i Delacour. — Jan boso-nogi, dramat p. Delpit.

Hrabia du Moncel opisuje jak najdokładniej całe dzieje i postęp telegrafji, nic jednak nie zajmuje się czekającą ją przyszłością, czy należy ona do telegrafów drukowanych czy odbijających własnoręczne pismo, który to systemat zaleca się swą prostotą. Nadto dziś już zaczynają przewidywać możność przesyłania już nie pisma ale słów wymówionych, choć bez wątpienia dotychczasowe próby nie zapewniają prędkiego dojścia do tego celu.

Po telegrafach najważniejszy dział zastosowań elektryczności stanowią maszyny indukcyjne, które w ostatnich czasach szybko kroczyły drogą postępu i rozwoju. Z tych najciekawszą jest i zdaje się największą ma przed sobą przyszłość, maszyna pana Gramme, której główną zasadę stanowi cewka przytwierdzona do obrączki żelaznej, obracającej się między biegunami magnesu. System ten tem się różni od dawniejszych, że wytwarza prądy indukcyjne *nieprzerwane* zamiast następujących po sobie prądów zmiennych i przeciwnych, które trzeba *zwracać* sztucznie, chcąc np. wywołać skutki chemiczne.

Maszyna Gramme'a może przybierać najrozmaitsze kształty odnośnie na jaki użytek jest przeznaczoną, i z jej pomocą można jak najtaniej oświetlać jak największe fabryki i zakłady, w którym oświetlenie elektryczne z korzyścią zaprowadzone być może. Dotąd najgłówniejszą przeszkodą rozpowszechnienia takiego oświetlenia, nie było. jak wiele osób mniema zbyt kosztowne go otrzymywanie, bo ono wyniosłoby taniej jak wszelkie inne światło, ale trudność podzielenia światła dostarczonego przez przyrządy. Zbytni blask końców węglaześrodkowany w jednym punkcie, rzucał z jednej strony światło oślepiające kiedy z przeciwnej wszelkie przedmioty w zupełnej pozostawały ciemności, i dla tego przekładano światła słabsze ale łatwiej dające się rozdzielać. Dziś zdołano już zbudować przyrządy magnetyczno-elektryczne przedstawiające od 50 do 100 beków Carcel'a, a tem samem rozwiązano w części trudność oświetlania elektrycznego. Kilka lamp o 50 bekach, otoczonych szklannemi matowemi globami, oświetla fabrykę *à giorno* nie utrudzając wzroku. Ponieważ dzisiejsze przyrządy są i lżejsze i mniej zajmujące miejsca, można się spodziewać że oświetlenie elektryczne stanie się obowiązującem na okrętach, co musiałoby wpłynąć na zmniejszenie się wypadków uderzenia o siebie okrętów.

Maszyny magnetyczno-elektryczne oddają także wielkie usługi galwanoplastyce, w wielu już warsztatach zajęły miejsce stołów. W ostatnich dwóch latach przyrząd Gramme'a został nadzwyczajnie uproszczony i wszystko świetny zapowiada mu rozwój na drodze postępu, szczególniej wówczas gdy teorya racyonalna uwolni od długich często bezowocnych dochodzeń i badań.

Wytwarzanie elektryczności za pomocą włosów, jest nader kosztowne i dla tego dotąd nie można było posługiwać się elektrycznością jako siłą w ruch wprawiającą, gdyż teoretycznie łatwo można zamienić ją w motor, to jest wytworzyć ruch przez prądy odwracając mechanizm maszyn dynamo-elektrycznych.

Chodzi tylko o to, aby można prądy te otrzymać tanim kosztem. PP. Niaudet Breguet i Gramme robili próby których rezultata wiele obiecywać się zdają; może przyjdzie do tego, że można będzie zużytkować z oddali spadki wód w górach, siłę przypływu i odpływu morza na wybrzeżach, i tyle innych przyrodzonych źródeł siły mechanicznej, dziś bezużytecznych dla przemysłu, ponieważ nie może być przeniesioną do miast w których musi koncetrować się przemysł.

Dzieło hr. Du Moncel obejmuje dokładnie spisane dzieje elektryczności i wszystkiego co tylko do niej się odnosi od najdawniejszych do naszych czasów, i śmiało możemy polecić je osobom poważnie zajmującym się naukami przyrodzonemi.

Nie możemy pominąć jednego jeszcze dzieła które pragnęliśmy widzieć jak najwięcej rozpowszechnione t. j. *La loi obsolue du devoir et la Déstinée humaine au point de vue de la science comparée*, p. J. Rambossou, laureata Instytutu paryzkiego. (Bezwzględne prawo obowiązku, i przeznaczenie człowieka uważane ze stanowiska nauki porównawczej). W tych smutnych czasach powszechnego rozprzężenia moralnego, niezbędnem jest niemal mówić o moralności, obowiązkach i przeznaczeniu człowieka i innych równie wzniosłych przedmiotach ściśle łączących się z temi kwestyami. Nauka porównawcza jest warunkiem wielkich odkryć w przyszłości i wiele bardzo rozwiązuje problematów, jak to dowodnie przedstawia dzieło p. Rambossou, człowieka wysoko naukowego, a zarazem umiejącego nader jasno i przystępnie tłomaczyć najtrudniejsze zadania.

Książka p. Rambossou dostępną jest dla każdego myślącego człowieka, i usprawiedliwia najzupełniej zaszczytną nazwę popularyzatora nauki jaką powszechnie przyznają autorowi tylu dzieł znakomitych, w pośród której wyż wymienione niewątpliwie najpierwsze zajmuje miejsce.

Ale może która z moich czytelniczek zmarszczy czoło, że o samych tak poważnych przedmiotach i dziełach piszę w dzisiejszej korespendencyi: — ale cóż robić kiedy dzisiejsza literatura piękna tak po większej części „nie piękna“ że mówić o niej nie warto; a jeźli się znajdzie coś lepszego, tłomacze chwytają swą zdobycz zaledwie książka ujrzała światło dzienne, i nim jeszcze korespondent przeczytać ją zdołał. Wszak i obecnie zaledwie „Marianne Chevreuse ukazała się w „Revue des deux mondes“ i właśnie zamierzyłem zalecić ją jako jeden z rzadkich utworów Jerzego Sand (margrabina du Devant) dający się czytać w kółku rodzinnem, aż tu odbieram z poczty numera Tygodnika i przekonywam się, że Redakcya uprzedziła mnie i już dała powieść w przekładzie. W kilku pismach peryodycznych jest obecnie rozpoczętych kilka wiele obiecujących powieści, ale nie mogę pisać o nich jeszcze boć nie darmo mówi przysłowie: „koniec dzieło chwali“ a trudno odgadnąć czy tu koniec odpowie początkowi.

W teatrze *Gymnase* przedstawiono nową komedyę w trzech aktach, p. t. „*Miljon pana Pomard'a*“ pp. Guillemot i Raymond.

Pan Pomard jest to wzbogacony handlarz, który zebrawszy milijon marzy tylko o opuszczeniu sklepu i Paryża aby wrócić do rodzinnego miasteczka, gdzie pragnie olśnić wszystkich swojem bogactwem. Dziecinne lata spędził tam na niskich posługach, opuścił miasteczko z 27 fr. w kieszeni, i w starej wełnianej skarpetce. Cóż to za tryumf wrócić tam milijonerem. Szczęśliwszy od wielu, mógł urzeczywistnić marzenia swoje, i z całą rodziną przeniósł się do owego miasteczka. Lecz niestety! zaledwie się osiedlił spotykają go różne nieprzewidziane przykrości i nieprzyjemności. Ani mu na myśl przyszło ile miłości własnych obrazi, ile obudzi zazdrości i niechęci!... W temże mieście mieszkał niejaki p. Desmazures prosty mieszczanin bogaty który dotąd był pierwszą figurą, lecz teraz jego pół-milijona maleje i traci dotychczasowe znaczenie obok całego milijona p. Pomard; to też poprzysiągł wieczną nienawiść i zemstę nowo przybyłemu. Pragnąc utrzymać się na dostojnem stanowisku milijonera a z drugiej strony zmuszony przewyższać nieustannie swego współzawodnika, p. Pomard zniewolony jest robić wydatki zagrażające mu ruiną. Daremnie dosięgnął zaszczytów zadawalniających jego pychę, został bowiem wybrany prezydującym w komitecie rolnym, w orfeonie, i t. d. — w czem odniósł zwycięztwo nad przeciwnikiem, wszystkie te jednak drogo okupione dostojeństwa nie wynagradzają ciężkich kłopotów spadających nieustannie na głowę biednego milijonera. Służący, przekupieni przez p. Desmazures, dziękują mu za służbę; syn, ladaco, który już w Paryżu narobił znacznych długów, i p. Pomard obiecywał sobie że na prowincyi uniknie sposobności do złego towarzystwa, zakochał się w kawiarce i na rachunek ojca składa jej rujnujące podarunki; nie dość na tem potwarz nie oszczędza nawet uczciwej żony bogacza. Ta ostatnia kropla goryczy przepełnia czarę, i Pomard, z wielkiem zadowolnieniem rywala, decyduje się wracać do Paryża, aby tam żył spokojny nieznany. Zamierzony wyjazd rozbraja nienawiść p. Desmazures i wszystko kończy się pojednaniem, przypieczętowanem połączeniem obu rodzin przez małżeństwo syna Pomard'a z córką Desmazures'a.

Treść przekonywa że komedya pp. Guillemot i Raymond nie zaleca się ani nowością pomysłu, ani zbyt skomplikowaną intrygą, ale prowadzona jest dobrze, rozmowy zręczne iskrzące się dowcipem kilku rol bardzo wesołych i zabawnych. Komedya to nader stosowna do letnich teatrów, bo bawi i rozśmiesza.

Teatr Vaudeville (Rozmaitości), leżący w środkowym punkcie eleganckiego i bogatego świata, kiedyś nader świetnem cieszył się powodzeniem, lecz od dwóch lat klątwę czy urok rzucił ktoś na niego, dość że ciężyło nad nim ciągłe niepowodzenie. Dawane sztuki nowe, nieraz nawet nie bez zalet, upadały po pierwszem przedstawieniu; wznawiano dawne cieszące się kiedyś wielkiem powodzeniem, uznano że przestarzałe, nie odpowiadające obecnym wymaganiom i duchowi czasu, i teatr najczęściej świecił pustkami. Z nadejściem letniej pory, dyrektorowie postanowili zamknąć teatr, i czekać lepszych czasów. Zazwyczaj artyści nie mający w lecie zajęcia w Paryżu rozjeżdżają się w różne świata strony, szukać szczęścia które najczęściej tylko wybrańcom swoim dopisuje.

W tym roku, porozumiawszy się z sobą artyści, najęli teatr na dwa miesiące i postanowili dawać przedstawienia wspólnemi siłami. Było to przedsięwzięcie nader śmiałe i może właśnie dla tego nadspodziewanie się powiodło. Zamiast zwykłych w tej porze upałów, nastały zimna i słoty, nie dopuszczające teatrów i koncertów pod gołem niebem, tak więc publiczność zaczęła tłumnie zgromadzać się w pozostałych w mieście teatrach.

Nie mając dostatecznych funduszów aby nabywać sztuki u słynnych, pewne powodzenie zapewniających autorów, zaczęli, sami nie przypuszczając tak szczęśliwego rezultatu, przeglądać starannie sztuki spoczywające od dawna na półkach biblioteki teatralnej, i napotkali rękopism trzy aktowej komedyi pp. Hennequin i Delacour p. t. „*Proces Veauradieur*,“ która bez tego nigdy może nie doczekałaby się przedstawienia. Książę Napoleon powiedział kiedyś nader trafnie: jest ktoś mający zawsze więcej rozumu niż każdy z osobna: — tym ktosiem są wszyscy. Otóż jeżli kto to dyrekcye i dyrektorowie teatru, powinniby te słowa zawsze mieć na pamięci, i zamiast samowładnie odrzucać sztuki, pozwolić publiczności wyrokować o nich — a pokazałoby się że nie jedna z odrzuconych najlepszem cieszyłaby się powodzeniem. Tak było i z „Procesem Veauradieur;“ wprowadzony na deski teatru od pierwszego przedstawienia nie przestaje zgromadzać licznie publiczność co w Vodevillu od dawna nie miało już miejsca.

Trudno opowiedzieć treść sztuki będącej jednym nieprzerwanym ciągiem bystrego dowcipu i dziwnie powikłanych, jedna z drugiej wywiązujących się sytuacyj, nad wszelki wyraz komicznych z których zdaje się wybrnąć będzie niepodobna, a jednak autorowie wywiązali się nader zręcznie i dowcipnie z tak trudnego zadania. Sztuka jest pełna werwy i humoru, wiersz gładki, artyści grają bardzo dobrze, warto byłoby przyswoić ją naszemu teatrowi Rozmaitości.

Obok powyższej komedyi, artyści Vodevillu przedstawili jeszcze dramat p. Delpit p. n. „Jan boso-nogi.“

Rzecz dzieje się w owej epoce która do tylu już utworów dramatycznych i belletrystycznych dostarczyła wątku, i na długo jeszcze nieprzebranem do nich pozostanie źródłem.

Stary szlachcic bretoński, margrabia Kardigan, przybywa do Paryża aby być świadkiem śmierci syna swego, który ginie w obronie Ludwika XVI. Pozostaje mu jeszcze dwóch synów: Jan który łączy się z rewolucyą i Henryk wierny królowi i tradycyom rodowym. Margrabia przeklina Jana i zabrania mu nosić swoje nazwisko; ten walczy w szeregach ludu, dokazuje cudów waleczności za co zostaje mianowany jenerałem i zyskuje przydomek „boso-nogi.“ Reprezentant ludu Hevrard był świadkiem jego męztwa i niezachwianej odwagi i w nagrodę ofiaruje mu rękę swej córki Fernandy, w której oba bracia szalenie się kochają. Fernanda opiera się związkowi z Janem, bo kocha Henryka de Kardigan. Wkrótce dowiedziała się że jej ukochany ukrywa się w Paryżu pod przybranem nazwiskiem, ma być pojmany jako szpieg wandejski, biegnie go ostrzedz i ułatwia ucieczkę. Henryk połączył się z ojcem w Wandei. Oto dwa pierwsze akta, które dzieją się w Paryżu.

Akt trzeci przenosi widza na widownię zaciętej walki ludności Zachodu z Konwencyą. Jan boso-nogi dowodzi oddziałem pod czujnym nadzorem reprezentanta Hevrarda. Ale gdzież nie wśliznie się zdrada! Jakiś wieśniak bretoński donosi jenerałowi że oddział powstańców zebrał się w pałacu margrabiego de Kardigan; wydano rozkaz otoczyć i koniecznie zdobyć zamek. Jednocześnie Henryk pragnąc zobaczyć ukochaną, błąka się w pobliżu okopu w którym ona przebywa z ojcem. Zostaje pojmany i przyprowadzony do jenerała. Jakież będzie to spotkanie dwóch braci? Zapewne zasypie wyrzutami renegata?... Autor inaczej rzecz poprowadził, pragnąc zgromadzić w czwartym akcie całą patetyczność sytuacyi. Uwolniony przez brata, Henryk wraca między Wandejczyków którzy ulegają pod zbyt przemagającą siłą, dwiestu przeciw dwom tysiącom. Margrabia z synem staje się jeńcem niebieskich, i czeka ich straszny los więźni w tej wojnie bez pardonu. Daremnie Jan błaga dla nich o łaskę, daremnie Fernanda chcąc ocalić ukochanego oznajmia ojcu gotowość poślubienia Jana, reprezentant Hevrard pozostaje nieubłaganym. Wtedy, zgnębiony rozpaczą, Jan wyrzeka się dotychczasowych przekonań, ojciec odwołuje przekleństwo, błogosławi i przyciska do serca nawróconego.

Nie na tem koniec; Jan postanowił ułatwić ucieczkę brata, choćby miał sam śmierć ponieść za niego. Henryk odgadł poświęcenie i nie chce taką ceną okupić wolności. Tu następuje nader piękna scena. Margrabia i Jan łączą swe usiłowania aby skłonić Henryka do ucieczki do Anglji, z pomocą pasportu który były jenerał uzyskał dla siebie. Henryk ani chce słuchać; brat błaga, ojciec rozkazuje; nareszcie Henryk uwierzywszy że i oni podążą za nim do Anglji, oddala się z pasportem aby utrzymać ród i imię Kardiganów, a Jan i stary margrabia mają zginąć i gotują się na śmierć. Na tem kończy się sztuka.

Nie można twierdzić że dramat ten jest doskonałością, ale nikt nie zaprzeczy zapału, szlachetności i wzniosłości uczuć. Akcya rozwija się szybko, zajęcie nie słabnie ani na chwilę. Szczególniej czwarty akt jest nader dramatyczny i świetnem cieszy się powodzeniem.

K. G.

Przegląd teatralny.

Niewinni.

Dramat w trzech aktach przez Władysława Okońskiego.

Żyjemy w czasach, w których wszystko dąży olbrzymim krokiem do postępu. Ufni w potęgę swojego rozumu, stajemy jako chirurgowie moralni ze skalpelami w rękach, ażeby analizować każde uczucie, każdy wewnętrzny popęd, każde niemal zachcenie człowieka. Skrytego dla nas nic być nie może, albowiem gdzie rozum dosięgnąć nie zdoła, wyręczamy się hypotezą, podnosząc ją do znaczenia matematycznego pewnika. Pan Wł. Okoński, nowożytny myśliciel, studyjąc widocznie Leibnitz'a i Herburta, którzy moralne skutki przypisują materyalnym przyczynom, zapatrując się przytem na starożytne fatum rządzące ślepo i brutalnie losami ludzkości, wytworzył sobie pewien pośredni systemat, mocą którego wolna wola człowieka krępowana ciągle zewnętrznemi wpływami, zostaje w końcu zupełnie ubezwładnioną. Systemat ów byłby nader dogodnym dla zbrodniarzy i wszelkiego rodzaju przestępców, gdyby przezorny jej propagator nie zawarował sobie, iż wszystkie nasze moralne niedostatki z krwi, temperamentu, nerwów, a trochę także i z wychowania wypływające, powinny podlegać karze społecznej tak zupełnie, jak gdyby one były samodzielnym wynikiem woli człowieka. Tak przynajmniej wywody jego zrozumieliśmy.

Nie zastanawiając się nad niekonsekwentnością podobnego przypuszczenia, autor zebrawszy starannie owe mrzonki, ubrał takowe w formę dramatyczną, i obdarzył nas psychologicznym dramatem. Myśl to zupełnie nowa i całkiem oryginalna. Dotąd mieliśmy komedye obyczajowe i tendencyjne, jakoteż dramata malujące walkę uczuć, a każdy dramat posia-

dał cel doniosły, moralny; nadto Francuzi stosując się bałwochwalczo do zepsutego smaku mieszkańców Paryża, zalali scenę utworami denerwującemi, o przewrotnych ideach, wyszydzając cnotę, tłomacząc występek, nadając ohydnej zbrodni prawo obywatelstwa; nikomu jednak na myśl nawet nie przyszło którąkolwiekbądź, nawet mniej abstrakcyjną ideę, jaką jest idea p. Okońskiego, podzielić na sceny, akty, a włożywszy traktaty filozoficzne w usta aktorów, dać widzom rodzaj dyalogowanego odczytu.

Drażliwą jest misya sprawozdawcy który ma zwyczaj zawsze śmiało i otwarcie wypowiadać swoje zdanie, nie oglądając się na to co już inni przed nim powiedzieli, szczególniej gdy rzecz idzie o sztukę tak okrzyczaną i przechwaloną jaką się stali „Niewinni“ przed jej przedstawieniem na deskach teatru Rozmaitości. Komisya konkursowa krakowska potępiając tendencyę, udzieliła p. Okońskiemu sankcyę niezaprzeczonego, wyższego nawet talentu; po tyle poważnym wyroku tłumy wydały okrzyk bezwzględnego uwielbienia, byli i tacy którzy głosili już nową erę w literaturze dramatycznej, jaka na wzór Lohengrünów i Tänhaüzerów Wagnerowskich, ma stanowić przewrót w istniejących dotąd pojęciach o sztuce. Czyliż więc się godzi w obec tak poważnych głosów, mnie maluczkiej istocie, wyjawić wprost przeciwne zdanie? Nie, zaprawdę—toby było trudnem do przebaczenia zuchwalstwem. Z drugiej jednak strony stosując się do przyjętej przez samego autora zasady, opiewającej iż wszystkie nasze błędy i wady jako pochodzące raczej z systematu nerwowego nie zaś z moralnych czynników, czynią nas „*niewinnemi*,“ przystępuję jako zupełnie „*uniewinniony*“ z zarzutu nie podzielania ogólnego zachwytu, do sprawozdania.

Treść dramatu jest nader prostą. Pan Maurycy Dobrycz ex-don Juan, a następnie kształcący się na filozofach starożytnych marzyciel, nabroiwszy w swej młodości dosyć złego, doszedł do przekonania, iż jedyną córkę, owoc burzliwych lat młodzieńczych, należy wychować w zasadach cnotliwych. Po dokonaniu tego chwalebnego przedsięwzięcia, wydał ją za niejakiego pana Bolesława Oniemskiego adwokata, który jako człowiek ułomny, dopuszcza się względem niej małego, czysto platonicznego przeniewierzenia małżeńskiego, z Juliją Krzewnicką kochającą go do szaleństwa. Przejęta cnotliwemi zasadami żona, odtrąca męża od siebie, i wyjeżdża wraz z ojcem do Wrocławia, gdzie w gościnnym pokoju niemieckiego hotelu, przepędzają oboje czas nad filozoficznemi i psychologicznemi dyskusyami, które jednakże nie mają innego skutku prócz zobopólnego rozdrażnienia. Ojciec kilkakrotnie narzeka iż dziecko swoje w tak cnotliwych zasadach wychował (sic), córka zaś narzeka, bo się czuje nader nieszczęśliwą przy swej wygórowanej cnocie. Narzekają i biadają tak przeszło pół-godziny. W trakcie tych pouczających rozmów przeplatanych nieporozumieniami, przybywa Julija: nie błaga ona o przebaczenie, ale go żąda i wymaga stanowczo jako *niewinna* — bo przecież nikt odpowiadać nie może osobiście, za to co jego systemat nerwowy nabroił. Racya jest, więc po niejakiem wahaniu, Zofija przekonana podobnie nie zachwianym argumentem, przyciska swoją rywalkę do serca. Słuchając tej sceny, nie mogłem w żaden sposób, jako człowiek starej daty nie pojmujący tegoczesnej filozofji, zrozumieć konsekwencyi żądania przebaczenia ze strony osoby, która kilkakrotnie powtarza: „W czemże ja winną jestem, powiedz?“ Gdzie bowiem nie ma winy tam i przebaczenie niepotrzebne, tak nas uczy logika. Koniec końcem *niewinna otrzymawszy rozgrzeszenie swej winy*, wyjeżdża i truje się gdzieś za kulisami, tak nas przynajmniej uwiadomił pan Bolesław, który przyjechawszy zobaczyć synka w kołysce, spotyka swą zaciekłą w cnocie małżeńskiej połowicę. Ale tym razem role ich zmieniają się: miękki charakter zostającego dawniej pod pantoflem mężulka, zastąpionym jest niby hartem ducha, a rzeczywiście jakąś deklamatorską napuszystością; ona zaś z dumnej swą cnotą i niezbłaganej w nienawiści Nemezys, przeistacza się w żebrzącą u kolan mężowskich choć szczypty dawnej miłości kobietę! Naturalnym porządkiem rzeczy następuje zgoda, pojednanie, i wygłoszonym zostaje morał sztuki opiewający, że wszyscy bez wyjątku źle i dobrze postępujący bohaterowie dramatu są niewinni... jako owe płaczące w kolebce dziecko.

Tego przymiotu jednak do autora „Niewinnych“ stosować nie można. Gdyby p. Okoński, nie dał w swej sztuce poznać rzeczywistego i niezaprzeczonego talentu, mniej byśmy kładli nacisku na jego zasady podkopujące moralność publiczną. Zwalać wszystkie winy, błędy, zbrodnie nawet ludzkości, na krew szybciej lub wolniej krążącą w żyłach, na ustrój nerwowy, na gruczoły czaszki; iść ślepo za starożytnem fatum zapominając że i ono z woli bogów pochodziło, ogałacać swoich bohaterów i swoje bohaterki ze wszystkich pojęć religijnych, może ujść w ostatnim razie na katedrze prelegenta, ale nie na scenie o której powiedziano: „ridendo castigat mores.“ Nie dzielimy bowiem zdania szanownego sprawozdawcy Kuryera Codziennego, starającego się dowieść, iż autor miał na myśli jedynie wpływ wychowania. Stary Dobrycz gdyby był wychował córkę w zasadach religijnych, nie miałby z nią tak twardego orzecha do zgryzienia jak wtedy, kiedy ta „cnotliwa córka“ rani boleśnie swego dobroczyńcę i ojca w najtkliwszych uczuciach. Ona by znowu czując się nieszczęśliwą padła na kolana, wzniosła gorącą modlitwę do nieba, i wsparta łaską, nabrała mocy ducha do znoszenia z męztwem swych cierpień. Ale staremu Dobryczowi równie jak i panu Okońskiemu o religię bynajmniej nie chodzi. Proszę mi przytoczyć choć jedną scenę, choć jeden zwrot mowy, choć jeden wreszcie wyraz, w którymby zabłysnął orzeźwiający promień chrześcijańskiej miłości, nieskazitelnej cnoty ojców naszych? Nic, zewsząd bije jakaś oschłość, jakieś abstrakcyjne rezonowanie, jakieś wywody które postawiąc, natychmiast same siebie zbijają. Rażące błędy sztuki nie pochodzą z braku talentu jej twórcy, ale z tego że chcąc dowieść fałszywego założenia, na każdym kroku spotyka szkopuł. I nie może być inaczej, prawda bowiem jedna tylko istnieje — a tą prawdą jest Bóg. Kto tego zrozumieć nie chce lub nie umie, tego utwory przy największem nawet uzdolnieniu nie zajaśnieją nigdy promienną aureolą natchnienia.

Wszystkie kreacye „niewinnych“ wyjąwszy Alfreda Łańczuka, są to uosobistnieni przedstawiciele wygłoszonej maksymy, nie zaś ludzie z ciała, krwi i kości; wszyscy chodzą, mówią, rezonują jak ożywione galwanicznym stosem teorye—ich uczucia są zmysłowemi namiętnościami, szlachetna duma zamienia się u nich w niską pychę, a rozum w psychologiczne formułki. Dziwić się temu nie można: w miejsce duszy mają oni mózg, w miejsce serca szał dziki, w miejsce poczucia złego i dobrego nieuchronną fatalność. Determinizm zaś, obok którego poruszają się wszystkie sprężyny akcyi, jest alfą i omegą całego tego filozoficzno - abstrakcyjnego dramatu.

Akt pierwszy uważamy za najlepszy. Po synogarliczej, sielankowej, lecz cokolwiek za długiej ekspozycyi, następują dyalogi których rozwlekłość okrasił autor żywością słowa, a nawet często prawdziwym dowcipem; finał zaś tego aktu stanowi nader efektowe, nieledwie Dumas'owskie zakończenie. Dalej już sztuka wlecze się leniwo, kuleje, chroma, akcyi zupełny brak, wszelki interes niknie, a powtarzające się aż do znudzenia traktaty filozoficzne i psychologiczne, wyradzają w słuchaczach ckliwość i przesyt. Stary Dobrycz nie ma w sobie ani powagi ani godności; niby wytrawny nabytem doświadczeniem myśliciel a rzeczywiście chybiony pedagog, wyrzeka na córkę, biada, płacze nawet, nie umiejąc w danej chwili okazać jako Ojciec mocy charakteru względem ubliżającego mu dziecka. Zofija której obrażona duma stanowi jedyną cnotę, obarcza dawcę swego życia wyrzutami jakie nie powiem już poczucie obowiązku, ale sama przyzwoitość nawet wstrzymać by na jej ustach powinna. Bolesław to nikczemnik: bawił się z miłością młodej panienki jak z kwiatkiem który można zerwać, zmiąć w ręku i rzucić na cztery wiatry. Sam jej pozwolił przybyć do swego domu, a wiedząc iż żona słucha za drzwiami rozmowy, stchórzył przed swoją połowicą niby żak szkolny, i nagadał biednej dziewczynie grubijaństw. Julija to jakaś wcielona namiętność w której każda czynność jest niekonsekwentną. Że kocha ciągle człowieka który ją obrzyguje błotem nic dziwnego—tysiące mamy podobnie zapamiętałej miłości przykładów; ale jej podróż do Wrocławia, wyrzuty czynione tej którą obraziła, żądanie przebaczenia wtedy gdy się uważała za niewinną, a nakoniec i owa śmierć samobójcza, powiększająca jeszcze nienaturalność położenia Bolesława względem żony, przez to iż on łacniej powinienby ze względu na wolę zmarłej zbliżyć się do żebrzącej współczucia małżonki, wszystko to są charaktery mogące istnieć w wyobraźni filozofa, nigdy zaś w rzeczywistem życiu.

Alfred Łańczuk jedynie stanowi wyjątek od ogólnej reguły. Takich cyników, którzy cynizm swój uważają za rzecz prostą, naturalną, którzy nie kryją się ze swojem brakiem moralnych zasad, posiadamy mnóstwo pomiędzy nami—jest nawet nadzieja że ich więcej jeszcze posiadać będziemy, jeżeli zasada pana Okońskiego opiewająca iż postępki każdego człowieka są następstwem jego temperamentu, ugruntuje się w naszem społeczeństwie. Tym bowiem sposobem gdy kara za złe czyny a nagroda za dobre stanie się rzeczą nielogiczną, sumienie zbytecznem, a zbrodnia uniewinnioną, oschły i wstrętny cynizm stanie na równi ze szlachetnem poświęceniem się dobru ludzkości. Bodaj to postęp! pamiętam jeszcze te czasy w których podobnej tendencyi dramat obudziłby powszechne oburzenie; dziś wywołuje tylko hymny pochwalne u „najserdeczniejszych,“ ostrożne i delikatne napomknienia u recenzentów, oklaski bezmyślnych tłumów, i ciche westchnienie bogobojnie wychowanych ludzi.

W dramacie pana Okońskiego wszyscy są niewinni: ani stary Dobrycz za wychowanie córki, ani Bolesław za gburowactwo i tchórzowstwo, ani Alfred za cynizm, ani wreszcie namiętna Julija za samobójstwo, odpowiedzialnemi być nie mogą. Jedynemi tu winowajcami okazują się artyści dramatyczni, w tem, iż grą swoją utrwalili na długo tak niemoralną sztukę w repertuarze teatrów Warszawskich. Podobnie mistrzowskiego wykonania dawno nie zdarzyło mi się widzieć, chociaż jak wiemy że o wzorowe oddanie powierzonych sobie rol, artystom naszym nie trudno.

Pani Modrzejewska w roli Zofji, odcieniowała wszystkie gwałtowne przejścia tego sztucznego charakteru tak subtelnie, iż wiele ujemnych stron dumnej, opryskliwej, nieznającej uszanowania dla ojca córki zatarło się: inaczej bowiem trudnoby było pojąć, jakim sposobem kobieta tak stanowcza w swej źle zrozumianej pysze, może odrazu zniżyć się do żebrania miłości u nóg męża który zdaje się nie dbać już o nią. Nadto artystka umiała w dykcyi ubeznicestwić błędy autora popełnione przeciwko składni i gramatyce, w których brak słowa i niewłaściwy rząd przypadków czyni zdania mniej zrozumiałemi, jak naprzykład:

Zofija. To żaden wyrok, to najzwyczajniejszy komplement, który pan Alfred mając na wszelki wypadek w pogotowiu, przy sposobności mnie ofiarował.

Gdy powinno być:

„To nie jest żadnym wyrokiem ale najzwyczajniejszym komplementem który i t. d.

Julija, owa kobieta idąca za konsekwencyą przyjętych przez autora zasad, która mącąc spokój rodzinny, pisząc do żonatego człowieka namiętne listy, wpraszając się tajemnie w progi małżeńskiego przybytku, śmie bezczelnie zapytać obrażonej żony: „W czem ja winną jestem, w czem — powiedz?“ przedstawiona przez pannę Romanę Popiel, stała się niemal możliwą osobistością. Jestem szczerym wielbicielem talentu tej znakomitej artystki, talentu, który objawiwszy się z początku w zakresie rol naiwnych, przyjął następnie rodzaj więcej wszechstronny. Nie jednokrotnie zachwycałem się nad jej grą której nic nigdy zarzucić nie można; nie miałem jednak dotąd wyobrażenia, do jakiego stopnia owa pieszczotka Melpomeny, umie tchnieniem artyzmu przerobić złe na dobre. Charakter Zofji jest zupełnie chybiony, tymczasem przez grę panny Popiel to widmo nieujęte przybrało kształty kobiety, namiętnej wprawdzie, lecz prawdopodobnej. Dwie tylko sceny składają wspomnioną rolę: obie odegrane zostały po mistrzowsku. Mianowicie ostatnie pożegnanie odtrącającego ją grubijańsko kochanka, oddane zostało z takiem uczuciem i zapałem, iż niejednemu ze słuchaczów łzy mimowolnie cisnęły się do powiek.

Pan Tatarkiewicz miał wdzięczną, bo najlepszą z całego dramatu rolę, i wywiązał się z niej znakomicie. Oprócz wybornego wystudyowania charakteru Alfreda, prawdziwie salonowa dystynkcya gry tego sympatycznego artysty, przyczyniła się nie mało do zaokrąglenia wszystkich odcieni przedstawionego typu.

Pan Leszczyński niezmierne trudności swej roli pokonał zwycięzko. W początkach sztuki sentymentalny, dalej wahający się, następnie brutal, w końcu zimny i szyderski — umiał sprzeczności owe tak spoić i połączyć pomiędzy sobą, iż to wszystko razem wzięte, dzięki umiejętnej grze, wyszło jakoś dosyć gładko.

Pan Rapacki czynił co mógł ażeby wlać iskierkę życia w automatycznego Dobrycza, a nawet w długiej scenie z Zofiją (akt II-gi), domacał się niektórych pulsacyi okazujących że ten dawny Lowelas, a obecnie biadający nad cnotą córki filozof, jest z tej samej co i inni ludzie ulepiony gliny; ale są rzeczy, których nawet tak wytrawny artysta jakim jest pan Rapacki zrobić nie jest w stanie. Do takich należy stworzenie czegoś z niczego: toby było cudem, którego determinizm dokonać nie zdoła.

Ludwik Niemojowski.

GOSPODARSTWO DOMOWE.

Piecyki do palenia kawy.

Angielskie kuchnie wywołały potrzebę urządzenia innych piecyków do palenia kawy, niż te, które i dziś jeszcze w bardzo wielu kuchniach spotykać się dają, a pod które wyłącznie na wierzchu komina ogień zakładać trzeba.

Nowoczesne piecyki nie są już nowością żadną, lecz rzeczą dla swej oszczędnej praktyczności za mało w gospodarstwie upowszechnioną, i dla tego też o nich pomówić chcemy.

Oglądaliśmy w tym celu dwa różnej konstrukcyi piecyki, oba na fajerki kuchen angielskich się kwalifikujące.

Pierwszy ma kształt rondla dosyć głębokiego, rozszerzonego w górze i nakrytego zupełnie. Małym otworem na wierzchu wykrojonym i zasuwką szczelnie zachodzącą osłoniętym, sypie się kawa. Rondel ten ma wewnątrz osadzony rodzaj kołowrotka, który za pomocą rączki na wierzch wyprowadzonej ciągle kręcić należy.

Stawiając rondel na fajerce potrzeba uważać, ażeby żar węgla nie był zbyt silny, gdyż kawa natychmiast się przepali; a poruszanie rondla i kręcenie kołowrotka nie wiele temu zdoła zaradzić.

Drugi systemat urządzenia piecyka jest o wiele wygodniejszy i bezpieczniejszy; gdyż ziarnka w ustawicznym muszą być ruchu. Jest on zrobiony formą kuli, przez którą przeciągnięto długi żelazny rożen. Kula ta ma również z jednej strony otwór opatrzony hermetyczną zasuwką. Stosownie urządzone grube kółko w dwóch miejscach naprzeciw siebie wyżłobione głęboko, przyjmuje rożen mocno osadzony i nie usuwający się przez to w czasie kręcenia. Kółko można położyć albo na fajerce otworzonej zupełnie, albo też wypełnionej wedle potrzeby, jest ono dosyć ciężkie i nawet na wierzchu blachy, nad samym otworem fajerki, umieścić go można. Równo obracana kula wszystkie ziarnka jednakowo systematycznie niemal porusza i rozgrzewa stopniowo, długi zaś rożen zakończony wygodną rączką drewnianą dozwala w znacznej odległości od rozpalonej blachy, całą czynność wykonywać.

Oba piecyki są z grubej blachy żelaznej, starannie i mocno odrobione. Pierwszy funtowej obszerności kosztuje rs. 1, drugi tak samo wielki rs. 2.

OGŁOSZENIA.

KALENDARZ
Jana Noskowskiego.

Nakładem i drukiem Jana Noskowskiego wyszedł Kalendarz domowy dla wsi i miasta na rok 1876, i kosztuje kopiejek 30. Obok części zwykłej kalendarzowej mieści się w nim w dziale literackim: Opowiadanie z teki Jana Zacharyasiewicza p. t. Szczęśliwy dłużnik; Przegląd biblijograficzny literacki za rok 1875; Przegląd nauk przyrodzonych i wynalazków przez W. Niewiadomskiego; cztery życiorysy, a mianowicie: Pauliny z Lanczów Wilkońskiej, Józefy z Albrychtów Wierzbowskiej, Januarego Sucholdolskiego i Jana Ajwazowskiego. Dalej następuje artykuł: O Stowarzyszeniach z praktycznem i jasnem przedstawieniem korzyści i sposobu zawiązywania stowarzyszenia tak zwanego Spożywczego, mającego na celu zaspakajanie potrzeb domowych każdej rodziny po cenach niższych od gdzieindziej praktykowanych; — stowarzyszenia rzemieślników po mniejszych miasteczkach w celu zakładania wspólnych warsztatów i pracowni, podnoszących rzemiosła i zabezpieczających samych rzemieślników od wpływów nieprzyjaznych okoliczności; — wreszcie o Kasach zaliczkowo-wkładowych, instytucyi kredytowych opartych na stowarzyszeniu, które jak sama ich nazwa objaśnia działają w dwóch odmiennych kierunkach: udzielają kredyt i przyjmują fundusze na procent. Ze względu małego u nas upowszechnienia nauki Gospodarstwa społecznego, które jedynie w zastosowaniu byt ogólny podnosi, artykuł ten uważamy za najpożyteczniejszy w kalendarzu p. Noskowskiego i szczególniej go rozwadze publicznej polecamy.

Ciekawym jest równie artykuł p. t. Przechadzka po Warszawie od Ś-go Jana do Ś-go Aleksandra, obejmujący mnóstwo szczegółów historycznych; dalej idzie rozprawka: O uprawie płaskiej, Siewie rzędowym i Żniwie mechanicznem, Rozmaitości dla gospodarzy i gospodyń i wreszcie następuje Dział informacyjny, w którym mieszczą się: plany trzech teatrów warszawskich, adresy niektórych Władz rządowych, Instytucyj prywatnych, Redakcyj z cenami pism peryodycznych, obrońców, patronów, mecenasów, komorników, rejentów, lekarzy, weterynarzy, dentystów, inżynierów, budowniczych; tabela pocztowa z ważniejszemi przepisami, przepisy telegraficzne z taksą depesz z Warszawy wysyłanych, termina podatków, o użyciu papieru stemplowego, wreszcie taryfa domów i ogłoszenia.

Cały ten kalendarz jako w cenie tani a starannie ułożony, zasługuje na uznanie i polecenie.

Opis ryciny kolorowej.

Fig. 1. Strojne ubranie wizytowe. Suknia z białego muślin oszyta trzema plisowanemi wolantami, z pod których wysuwa się wąziutkie żółte plisowanie. Tunika i stanik są z muślinu haftowanego w żółty deseń. We włosach ponsowa róża ze złotemi liśćmi, na spuszczonych lokach kokarda aksamitna.

Fig. 2. Ubranie wizytowe. Suknia z ciemno fijoletowej faille, z vêtement aksamitnem tegoż koloru. Suknia z długim trenem przybrana jest dwoma plisowanemi falbanami, przytwierdzonemi grubym sznurem, pokrytym materyałem. Do aksamitnego vêtement bez rękawów, przednia część dodana jest z materyału sukni. Z lewego boku vêtement podpięte jest zręcznie kieszonką wiszącą na długich wstążkach. Kokardy na rękawach, kieszonce i vêtement. We włosach motyl z pawich piórek.

Przyjaciela Dzieci Nr 44 wyszedł z druku i zawiera:

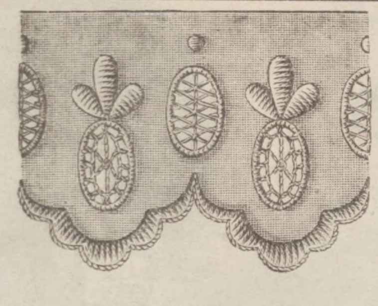
Róża Jerychońska.—Świszcze (z drzeworytem).— Mechanik wiejski (z drzeworytem.—Kwiat Paproci. — O pożytkach jakie mamy z węgla kamiennego.— Czyny nauczające. —w Dodatku: Wawerlej.

Prenumerata wynosi kwartalnie:
w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.
Adres: Do **J. K. Gregorowicza.** *Ulica Elektoralna Nr. 779 (nowy 41).*

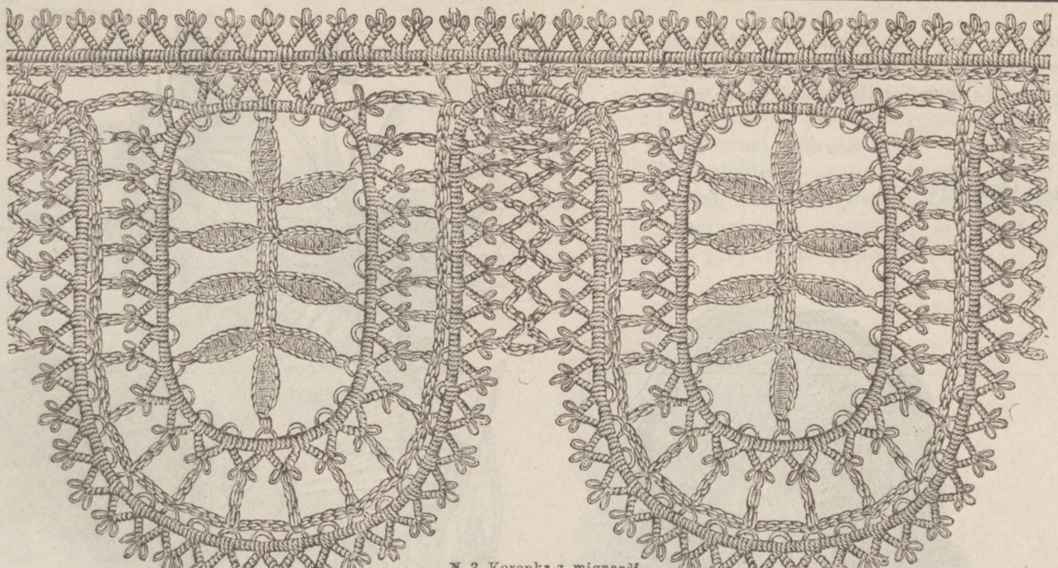
Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 16 (28 Октября) 1875 г. Redaktor i Wydawca **J. K. Gregorowicz.** Druk E. Skiwskiego, Elektoralna Nr. 758 (28).

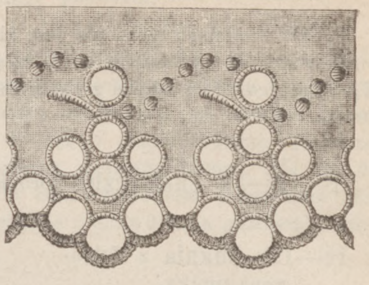
Dodatek.



N. 1. Szlaczek haftowany, do fartuszka ryc. 35.



N. 3. Koronka z mignardi-se i roboty szydełkowej

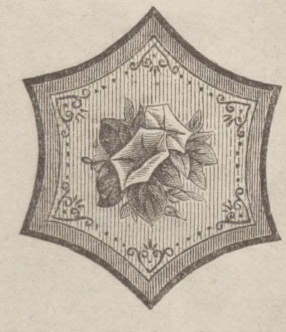


N. 2. Ząbki. Haft Madera.

Opis do N. 44.

(*Dokończenie*).

Przody te liczą 52—60 cent. długości a przy szwie z boków 30—36 cent., u dołu mają zastębnowany obrąbek 3 cent. szeroki, a z przednich brzegów wywinięte są w wykłady, przytwierdzone czterema guzikami. Połączenie kaftanikowych przodów z płaszczykiem dopełnia się przy zszywaniu ramion, boków i rękawa do pachy z przodu. Kapturek spadający na plecy odszyć można podług ryc. 9 ma on formę zwykłą z wywiniętemi brzegami, nadmarszczonemi w fałdy, przyciśnięte kokardą wyłożenie kapturka daje się z atłasu, zaplisowanego w kilka płaskich fałdów.



N. 4. Zwijadełko.



N. 6. Mała żardinierka.

N. 8—9. Płaszczyk z pelerynką przypiętą z przodu.

Płaszczyk formą puszczonego paletota, odszyty jest z granatowego nieprzemakalnego materyjału i przybrany szeroką czarną wełnianą pletnią. Zwracamy uwagę czytelniczek na nowy rodzaj pelerynki, dodanej z przodu, która zarazem zastępuje rękawy. Peleryna kraje się w dwóch oddzielnych częściach które z tyłu wpuszczają się w szwy boczne płaszczyka, a w miejscach zostawionych na pachy przyszywają tylko do pleców, z przodu brzegi peleryny rozchodzą się dość otwarto i przypięte są na przodach płaszczyka, dwoma rzędami guzików. Chcąc wyjąć ręce potrzeba tylko odpiąć pelerynkę z jednego guzika jak to widać na ryc. 8.

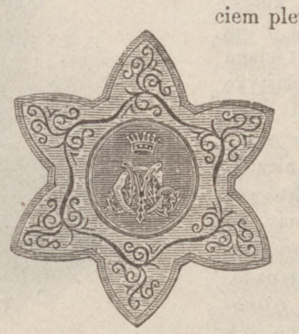


N. 7. Płaszczyk z dodanemi przodami kaftanika.



N. 8. Płaszczyk z przypiętą do przodów peleryną. Patrz ryc. 9.

Formę peleryny potrzeba zawsze dopasować najpierw z bibułki, podług figury osoby mającej nosić płaszczyk, a w takim tylko razie będzie leżyć gładko. Ryc. 9 przedstawia plecy płaszczyka ozdobione kapturkiem i naszyciem pletni.



N. 5. Zwijadełko.

N. 10—11. Okrągły kapelusik dla dziewczynki.

Biały filcowy kapelusz ma odwinięte rondko oszyte czarnym aksamitem na 1 cent. szerokości, nowość przybrania zasadza się na podpięciu z boku i z tyłu rondka dwoma sutemi rozetami z białej repsowej wstążki 5 cent. szerokiej. Główka opasana jest takąż wstążką z końcami 25 i 35 cent. długiemi. Białe piórko idące przez główkę z pod przedniej rozety, dopełnia przybrania.

N. 12 i 31. Kapelusz podpięty białą koronką.

Czarny bastowy kapelusz z szeroko odwiniętem rondem ma główkę opasaną czarną repsową wstążką 13 cent. szeroką zwężoną do 4 cent. przez założenie fałdów, z przodu główki dana kokarda której pukle liczą po 13 cent., a skośno ścięte końce po 14 cent. długości. Wierzch główki zasłaniają dwa długie, czarne pióra, spuszczone do tyłu. Rondo podszyte jest czarnym aksamitem od którego niezmiernie efektownie odbija podpięcie z białej koronki, w którem suta kokarda po nad czołem, z boków zaś dana nadmarszczona koronka, zwrócona brzegami do siebie. Z prawej strony koronka przypięta jest różą z czarnemi aksamitnemi listkami. Ten rodzaj przybrania jest najodpowiedniejszy do kapeluszy na koncert lub do teatru.



N. 9. Płaszczyk z przypiętą do przodów peleryną. Plecy do ryc. 8.

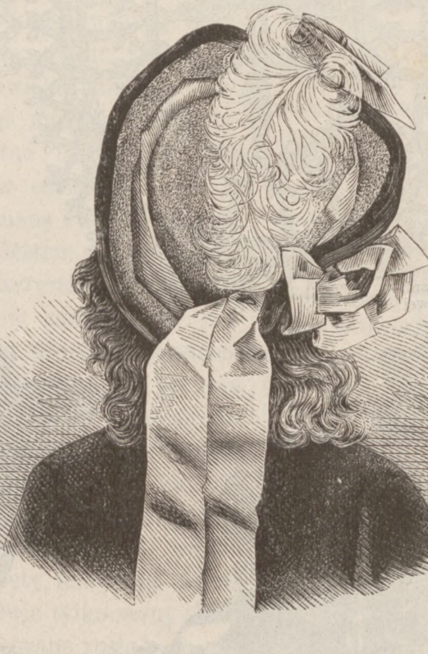
N. 13—15. **Modny** wachlarz koronkowy, chusteczka do nosa i rękawiczki.

Przy modelach tych opis jest zbytecznym gdyż zobaczenie ryc. wystarcza; o rękawiczkach dodamy tylko że załączone na ryc. 14 są spacerowe ze sztylpami i odpowiednie do sukien z wązkiemi rękawami, przy gładkich webowych mankietach.

N. 16—17. **Chusteczka** koronkowa. Opis przy ryc. 26 w N-rze 43.

N. 18—19. **Suknia** z fałdowaną tuniką.

Forma tunik ciągle utrzymuje się fartuszkowa z różnemi odmianami w podpięciu lub dopasowaniu brzegów, są one jednak zawsze mocno obcisłe i zchodzące się z tyłu pod mniej lub więcej sutemi szarfami. Do tak obcisłych tunik muszą być i suknie niezbyt szerokie w górze, gładko obstające z przodu i na bokach a tylny gładki bryt ściąga się na tasiemki lub elastykę aby cała szerokość sukni składała się w trenie. Długie stany i długie obcisłe baskiny niezbędne są przy stanikach, których nowe rodzaje form podamy do przyszłych N-rów na wielkim arkuszu dodatkowym; przyozdobienie staników stanowią różnorodne szalowe, podłużne lub chusteczkowe kołnierze, ryc. 18 przedstawia taki kołnierz zapięty sutą kokardą z długiemi po za stanik spadającemi końcami.



N. 10. Okrągły kapelusik dla dziewczynki. Przód do ryc. 11.

Suknia przedstawiona na ryc. 18—19 liczy z przodu 112, z tyłu 136 cent. długości, skośnie ścięty bryt prosty, dwa kliny boczne i prosty bryt tylny w całej szerokości materyjału (65 cent.) składają 315 cent. dolnego obwodu a 170 objętości górnej. Na 50 cent. odstępu od górnego brzegu, ściągnięty jest bryt tylny na elastykę do 15 cent. szerokości i w tem miejscu następnie wypada spięcie tuniki. Przybranie sukni składa się u dołu z plisowania 12 cent. szerokiego, po nad którem ze skośno ciętego materyjału na 37 cent. szerokości przemarszczona jest falbana $12\frac{1}{2}$ cent. szeroka, dwie bufy równej szerokości i nagłówek $3\frac{1}{2}$ cent. szeroki, z pod którego wysuwa się drobniutkie plisowanie 5 cent. szerokie.

Na fałdowaną tunikę potrzeba trzech brytów, z których środkowy pozostaje prostym a boczne ścinają się kliniasto od brzegów tylnych; długość tuniki z przodu wynosi 102 cent. a z tyłu około 60; u dołu ścięta jest szpiczasto w ząb i liczy w połowie 97 cent. szerokości. Brzeg górny zupełnie prosty i dół tuniki oszyty jest 6 cent. szeroką plisą czarną repsową z grubą wypustką, fałdy załamujące się aż do środka tuniki mogą być od tylnego brzegu zafastrygowane dla gładszego leżenia i dają się po trzy z każdej strony, ostatecznie układają się one dopiero na osobie, a tunika kładzie się w ten sposób iż od góry na 6 cent. wygląda suknia jak to widzimy z ryc. 19. Spięcie tuniki wypada na zmarszczeniu, tylnego bryta i przykryte jest szarfami odszytemi ze skośnego podwójnie wziętego materyjału, szerokość szarf wynosi po 47 cent. a długość na środku zębów 65, z boków zaś po 45 cent. Boki stanika zapiętego wzdłuż przodu przedłużone są również w formie szarf po 18 cent. szerokich a 40 długich, zszytych z podwójnego materyjału i dopełnionych repsową wypustką. Końce te są od dołu podpięte węzłami w pukle, podług ryc. 19.



N. 16. Chusteczka koronkowa. Przód do ryc. 17. Rękawek patrz ryc. 26 w N. 43.

N. 12. Kapelusz podpięty białą koronką. Patrz r. 31.

N. 13—15. Wachlarz, chusteczka i rękawiczki modne.

N. 17. Chusteczka koronkowa. Patrz ryc. 16.



N. 18—19. Suknia z fałdowaną tuniką. Przód i plecy.



N. 20—21. Półwcięty Paletocik.

N. 20—21. **Półwcięty** paletocik.

Krótkie paletociki stanowią dogodne okrycie spacerowe na piękne dni jesienne. Ryc. 20 załącza paletocik z ciemno-granatowego welwetu z półwciętemi plecami a przodami przedłużonemi troszkę szpiczasto; na bokach dodane są kieszonki a na rękawach wykłady ścięte w ząb i przytwierdzone guzikami. Przyozdobienie stanowi 4 cent. szeroka, czarna, wełniana taśma. Na ryc. 21 widzimy paletocik czarny aksamitny oszyty 8 cent. szerokiem jedwabnem plisowaniem; proste mankiety na rękawach przypięte z boku dwoma guzikami, oszyte są przy ręce plisowaniem.



N. 11. Okrągły kapelusik dla dziewczynki. Przód do ryc. 10.

N. 22—23. **Paletot** z szalowemi końcami.

Krój odpowiedni do tego paletota znajdą czytelniczki w N. 18 Tygodnika przy ryc. 4, łatwo go także dopasować podług dobrze leżącej formy stanika z baskiną, przedłużając tylko przody w szalowe końce. Długość modelu podanego z przodu i z tyłu na ryc. 22—23 wynosi przy szwie pleców od wykroju szyi do dołu 62 cent. od wykroju pachy przy szwie bocznym 34 cent. a wzdłuż przodu do końca zęba 118 centymetrów. Pod aksamit dodana jest jedwabna podszewka lekko podwatowana do końca stanu; przybranie stanowi jedwabna gipiura 8 cent. i pasmanteryja 5 cent. szeroka. Przy szalowych końcach dodane są kieszonki po 17 cent. długie a 10 szerokie, ozdobione rozetą z kwaścikami.

N. 24. **Litery** do chustki od nosa.

Odpowiednie do batystowych chusteczek litery haftują się wypukłym i płaskim atłaskiem, mogą być wyznaczone zarówno nad szerokim obrębem chusteczki, jako też nad oszyciem koronkowem.

N. 25 i 26. **Dwa** szlaki wyszyte na tiulu.

N. 27—29. **Gwiazdki** do serwet na meble. Robota szydełkowa i tasiemeczka.

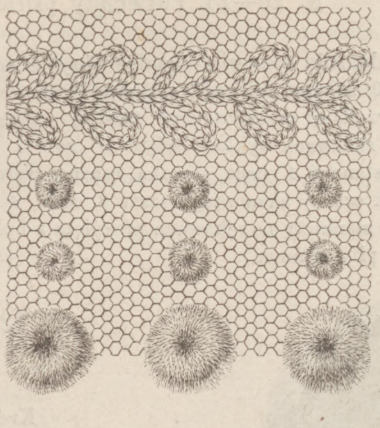
Na dużą gwiazdkę ryc. 27 potrzeba odrobić gwiazdeczkę środkową a potem dodać otoczenie z medalijonowej tasiemeczki i sł. szydełkowych. Gwiazda zaczyna się od 16 o. pow. złączonych w kółko, potem w każde z o. pow. robić 2 sł., po każdych czterech sł. następuje 21 o. pow., złączonych w pentelkę 1 o. ścisłem. Pentelki te stanowią podstawę do ośmiu listków, które wykończają się w drugim rzędzie. Słupki listków przedzielane są 3 o. pow. i robi się po 1 sł. w 2, 5 i 8 z o. pow. pętelki; w 11 oczko zajmuje się 2 sł. jako na czubek listka a w 14, 17 i 20 znów po 1 słupku.

Zwierzchnie obrobienie otoczenia z medalijonowej tasiemeczki liczy od jednego do drugiego medalijonu 15 o. pow, dalej w połączeniu medalijonów robi się 1 sł. pod., 2 o. pow., 2 sł. 2 o. pow. z których drugie przejmuje się w wyższą część podwójnego sł., 1 sł. pod., 15 o. pow. i 6 o śc. przez następną sznureczkową część tasiemeczki. W wewnętrznem obrobieniu tasiemeczki potrzeba od jednego do drugiego medalijonu robić tylko 8 o. pow. dalej 1 sł.. 2 o. pow. 2 o. śc. 2 o. pow. (z których drugie zajmuje się w słupek, tak jak w górnem obrobieniu), 1 sł., 8 o. pow. i 5 o. śc. przez sznureczek tasiemeczki.



N. 22—23. Paletocik z szalowemi końcami.

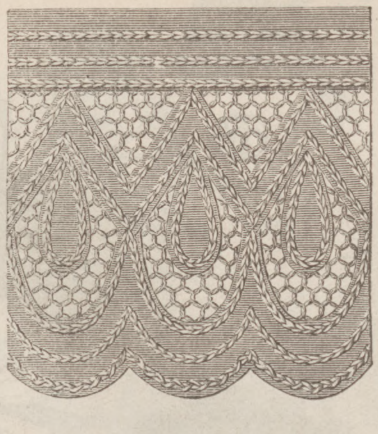
W następującym rzędzie sł. przedzielanych 2 o. pow. wrabia się gwiazdeczkę środkową, robiąc po każdych 7 sł. 1 pikot, którego środkowe oczko zaczepia się za listek gwiazdki. Z brzegu gwiazdki dane są również sł. przedzielane o. pow. w ostatniem obrobieniu dawane jest naprzemian 1 sł. trzy razy nawijany, 4 o. pow. i 1 sł. zaczepiony za środek poprzedniego potrójnego słupka.



N. 25. Zakończenie do woalek.



N. 24. Cyfry do chusteczki haft atłaskowy.



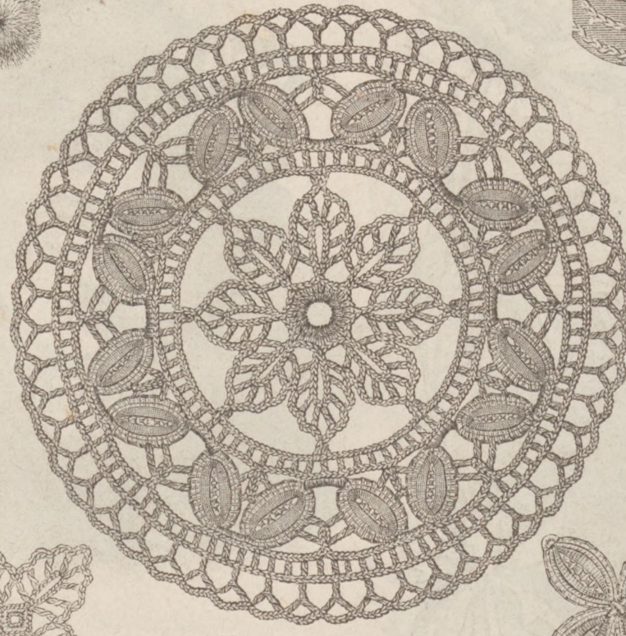
N. 26. Zakończenie brzegów do kapotki ryc. 31 w N. 43.

N. 31. Opis przy ryc. 12.

N. 32. Gorset.

Obciśle przystające suknie i staniki z długiemi baskinami, wymagają koniecznie dobrze leżącego gorseta, któryby jednak nie ściskał szkodliwie figury. Do odszycia takiego gorseta potrzeba niezmiernej staranności i umiejętnej wprawnej ręki, aby rozmaite zaszewki, kliniki i fiszbiny dopasować podług figury i wzrostu.

Na ryc. 32 przedstawiliśmy model gorseta, z którego można widzieć gdzie i w jakim kierunku wszywać fiszbiny, aby pomagały do dobrego leżenia stanika a nie pozbawiały swobody w ruchach, co zdarza się często przy źle dopasowanym gorsecie.



N. 27. Gwiazdka do serwetek. Robota szydełkowa i tasiemeczka.



N. 28. Gwiazdeczka do spajania. Odpowiednia do ryc. 27.



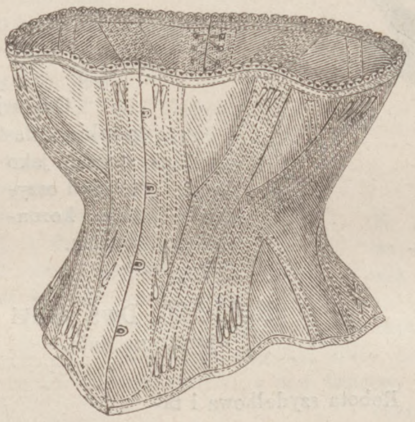
N. 29. Gwiazdeczka do spajania, odpowiednia do ryc. 27.



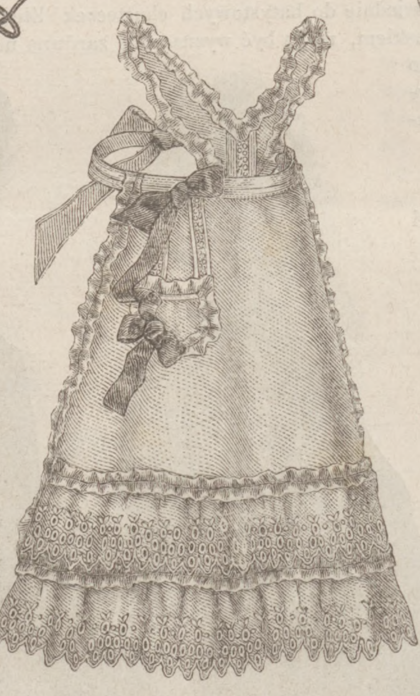
N. 30. Okrągły kapelusz podpięty piórami.



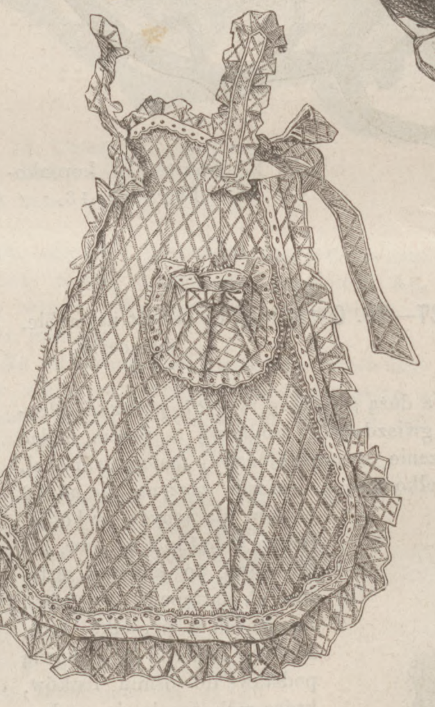
N. 31. Kapelusz podpięty białą koronką. Patrz r. 12.



N. 32. Gorset.



N. 35. Fartuszek z haftowanemi falbankami i riuszą. Patrz ryc. 1—2



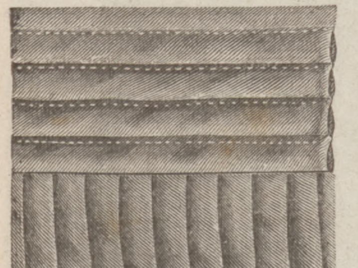
N. 36. Fartuszek z falbanką i pliską. Patrz ryc. 37.



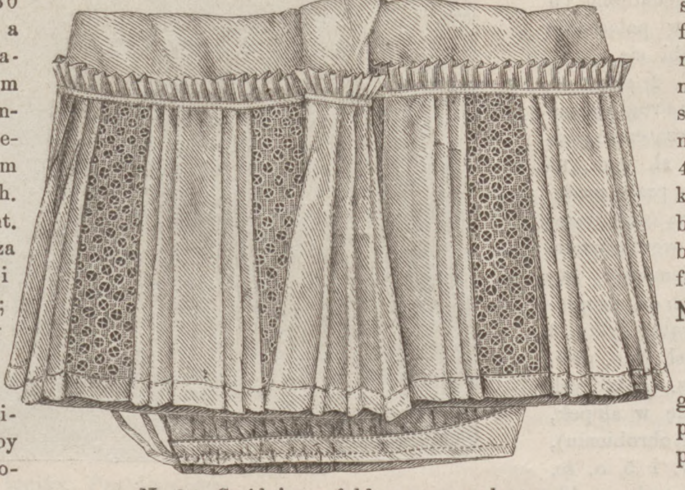
N. 33. Wełniana spódnica.

N. 33. Wełniana krótka spódnica.

Odrobiona jest z wełny popielatej i niebieskiej robotą drutową i szydełkową a u góry wszyta w perkalowy pasek. Zupełnie prosta, główna część spódnicy liczy 130 cent. szerokości a 50 długości i odrabia się w jednym ciągu lub pojedynczemi brytami ściegiem tunetańskim albo też na drutach. Falbana 10 cent. szeroka wykończa się oddzielnie i przyszywa u dołu; prążki tej falbany naprzemian niebieskie i popielate, tworzą niby kontrafałdy. Górna część spódnicy około 15 cent. długa, robi się prawie tylko na połowie oczek, aby gładko obciskała figurę dając 1 o. kr. i 1 gl. naprzemian. Ażeby perkalowy pasek spódnicy nie zwijał się po związaniu, potrzeba z wzdłuż przodu wszyć maleńkie dwa fiszbinki.



N. 38. Garnirunek do sukien.



N. 34. Spódnica z fałdowanym wolantem.

N. 34. Spódnica z trenem zakończona fałdowanym wolantem.

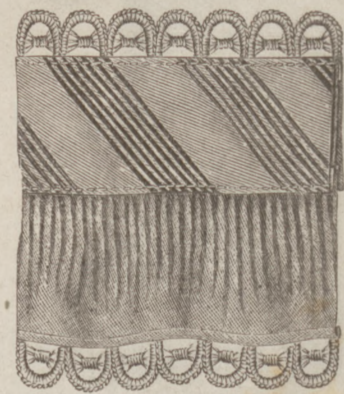
W dawniejszych tegorocznych N-rach Tygodnika znajdą czytelniczki krój spódnicy, dziś przedstawiony garnirunek nadaje się zarówno do spódnic z trenem jak i do krótkich. Składa się z wolantu 40 cent. szerokiego, układanego w potrójne, 12 cent. szerokie kontrafałdy, w odstępach między któremi wszyte są pasy fabrycznej gipiury, trimingu, lub ażurowego haftu. Dół wolantu zastębnowany jest w obrąbek 4 cent. szeroki, u góry idzie drobne plisowanie przyciśnięte stębnowaną plisą.

N. 35. Fartuszek z napierśnikiem. Haft patrz ryciny 1 i 2.

Biały, batystowy fartuszek składa się z jednego bryta klinisto ściętego z boków; u dołu idą dwie po 8 cent. szerokie, haftowane falbany, lekko nadmarszczone. Riusza 3 cent. szeroka, z brzegów wąziutko zaobrąbiona, środkiem przemarszczona zakończa brzegi falban i napierśnika, w który środkiem wszyta jest wstawka $2 \frac{1}{2}$ cent. szeroka. Z takiejże wstawki dane są paski do zawieszenia małej kieszonki, ozdobionej kokardą.

N. 36—37. Fartuszek z plisą i falbanką.

Składa się ze skośnego bryta przedniego i dwóch bocznych klinów, część napierśnikowa kraje się w jednym ciągu z brytem środkowym. Z lewego boku dodana jest kieszonka zaokrąglona u dołu, na którą potrzeba kawałka 14 cent. długiego a 25 szerokiego, ściągniętego u góry do 13 cent na elastykę. Przybranie fartuszka podane w naturalnej wielkości na ryc. 37, składa się z drobniutko marszonej falbanki 4 i 3 cent. szerokiej, z pliski przystębnowanej nad falbanką i z ząbków fabrycznych.



N. 37. Oszycie do fartuszka r. 36.

N. 38. Przybranie do sukni.

Podane w małem zmniejszeniu składa się z drobniutkiego plisowania i kilku jedna na drugą zachodzących plisek przestębnowanych z górnego brzegu. Przybranie to odpowiednie jest do sukni ryc. 1 w N. 43.